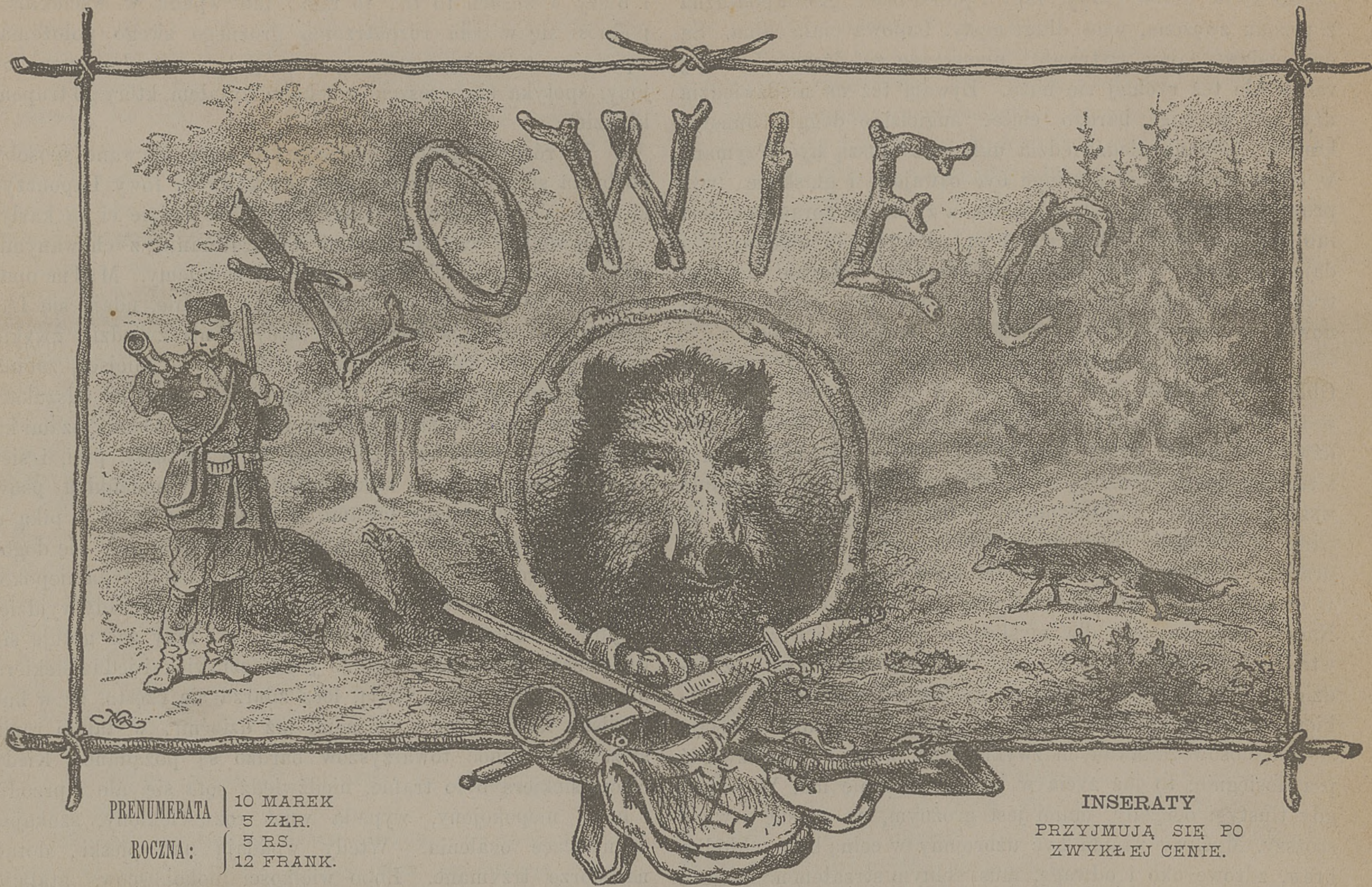
Nr. 5. Lwów, dnia 1. Maja 1879. Rok II.



PRENUMERATA ROCZNA: 10 MAREK, 5 ZŁR., 5 RS., 12 FRANK.

INSERATY PRZYJMUJĄ SIĘ PO ZWYKŁEJ CENIE.

WYCHODZI Z POCZĄTKIEM KAŻDEGO MIESIĄCA.

SPRAWY TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO.

Wpisali się do Towarzystwa łowieckiego:

Bajewski, sędzia pow.
Brykczyński Stanisław.
Dzieduszycki Juliusz hr.
Gorayski August.
Głowacki Henryk.
Obmiński Juljusz.
Ochocki Władysław.
Trojacki Włodzimierz.

ZWIERZĘTA ŁOWNE.

NIEDŹWIEDŹ.

(Dokończenie.)

Łowy na niedźwiedzie uważano zawsze jako niebezpieczne dla myśliwych, lubo nie tyle ile spotkanie z dzikiem. Przerażające przechowały się o tych łowach opowieści, doświadczeni jednak i chłodnej krwi myśliwi twierdzą, iż przy rozważnem i przytomnem zachowaniu się, nie ma prawie żadnego niebezpieczeństwa. Tylko w ostateczności rzuca się niedźwiedź na człowieka, zresztą zawsze ucieka, nawet raniony. Groźną jest tylko niedźwiedzica broniąca młodych. Polowanie na niedźwiedzie odbywa się zwykle z psami lub z nagonką, czasem tylko z sieciami, z zasadzki lub w upatrzonem zimowem legowisku. Ostatnie najbardziej w Rossyi jest znane i używane.

Tropy niedźwiedzia nader są podobne do bosej stopy człowieka, ale pazury mocno się odciskają. Tylne tropy są szersze. Niedźwiedzica zostawia słabsze ślady. Do łowów na niedźwiedzia używane bywają psy umyślnie do nich układane rasy polskiej, niemieckiej lub też zwykłe gończe. Psy polskie są średniego wzrostu, czarne, czarno lub czerwono-brunatne,

często żółte, przód głowy, łapy i piersi białe, głowa podłużna z przodu zwężona, włos długi gęsty, budowa ciała silna. Są one nadzwyczajnie wytrwałe, niemieckie zaś lżejsze bardziej rącze, ale też rychlej się nużą. Bywają też na niedźwiedzia używane buldogi bardzo cięte, angielskie doggi, duńskie kundle. Psy na niedźwiedzia układane muszą być trzymane w odosobnieniu, nie powinne być oswajane i głaskane, wyprowadzać je należy zakneblowane, a żywić nie gorącym żerem lub mięsem, lecz suchym chlebem. Po zabiciu niedźwiedzia daje się psom trochę juchy i patrochów. Karnie odgłosu trąbki słuchać powinne. Gonią po tropie (tropowce), stanowią niedźwiedzia lub napędzają na strzelców i sieci.

Polowanie z obławą odbywa się w zwykły sposób. Obławnicy powinni być uzbrojeni w koły, widły, myśliwi w strzelby i oszczepy. Jak inne zwierzęta, tak również niedźwiedzie mają swoje przesmyki, które najbardziej znać i strzedz należy. Zresztą zachowuje się na takiem polowaniu wszelkie przepisy i ostrożności, o których przy łowach na wilki mówiliśmy. Gdy niedźwiedzia obława pędzi, nigdy prawie nie staje się groźnym dla myśliwego, chyba mu tenże w drodze stanie, lub gdy strzelony był na sztych i raniony. Nader groźnym jest dla myśliwego przy łowach z psami, wtedy rozsrożony rzuca się nań. Psy w spotkaniu z niedźwiedziem na mniejsze narażone są niebezpieczeństwo, jak z dzikiem, nie tyle bowiem bywają rozżarte, wcześnie uchylają się od ciosów zadawanych zwykle łapą, którą gdy niedźwiedź psa dosięgnie, to już życia w nim zwykle nie ma. W jesieni gdy tłusty i ociężały, mniej jest groźnym, na wiosnę o wiele srozszy. Myśliwy winien być uzbrojony w celną broń, chłodną krew, zdrowe oko i odwagę, musi celnym strzałem na miejscu go powalić, skaleczony bowiem podnosi się, staje na tylnych łapach, dosięga z łatwością swej ofiary, i w strasznym uścisku gruchocze jej kości i odbiera życie, chociażby psy go szarpały. Na takie łowy myśliwy nigdy sam się nie wybiera, lecz w liczniejszem towarzystwie, aby w razie niebezpieczeństwa znalazł rychłą i skuteczną pomoc. Rozpowszechnione jest mniemanie między myśliwymi, iż w groźnym razie rzucenie się na ziemię i udawanie martwego zatajeniem oddechu, chroni w spotkaniu z niedźwiedziem, wszelako doświadczony inspektor puszczy Białowieżskiej Ronka zapewnia, iż w wielu wypadkach ten sposób ocalenia się zawiódł.

W Rossyi szukają niedźwiedzia w zimowem legowisku, albo zaraz po jego ułożeniu się, lub też w czasie już ustalonej zimy, gdy lodowa skorupa na śniegu ułatwia przystęp do lasu. Najwięcej takich legowisk znajdują chłopi pracujący w lesie lub strażnicy leśni. Chłop wyszukawszy takie legowisko sprzedaje je myśliwemu za 20 do 100 rubli, poczem następuje polowanie, które na tygodnie można odwlekać, ale trzeba legowisko mieć zawsze na oku. W pobliżu Petersburga zakupuje zwykle legowiska urząd łowczy, a niedźwidzie zabija sam cesarz. W jednym roku urząd koronny łowczy zakupił 30 niedźwiedzi, z których cesarz zabił 11.

Łowy na niedźwiedzia spoczywającego w legowisku, odbywają się w następny sposób: W oznaczonym dniu udaje się drużyna myśliwska na wskazane miejsce, otacza dwie lub trzy strony nagónką, ustawia się w szeregu i wysyła sprzedającego niedźwiedzia z psami ku legowisku. Ten budzi go i wypędza. Czasem niedźwiedź tak mocno zasypia, iż dopiero żelazne widły lub strzał go poruszą. Mniej ospały i uparty zaraz po zjawieniu się ludzi i psów opuszcza swoje schronienie, wykrada się gąszczem, wynosi, lecz płoszony wszędzie głośnymi krzykami, w śmiertelnej trwodze wypróżnia się, i bieży w susach to tu, to tam, lub wpada w wściekłość, podnosi się w celu rozpatrzenia groźnego swego położenia, wpada na nagónkę, rzuca się na nią, lecz wszędzie niepokojony, spotyka się wreszcie z celnym strzałem, który go trupem kładzie.

W różnych krajach różne też bywają używane sposoby pozbycia się owego drapieżnika. Ciekawe są łowy Lapończyków na niedźwiedzia, a dodać należy, że ludzie ci są karły, a niedźwiedzie ich olbrzymami w porównaniu z chowanymi, jakie w zwierzyńcach i menażeryach widujemy. Malm opowiada: „Gdy śnieg lub szron pokryje ziemię, udaje się Lapończyk w miejsca znane, w któych niedźwiedzie zwykle budowiska swe zakładają. Gdy znalazł takie miejsce, zacina z powrotem drzewa, aby później łatwo mógł je odszukać. W pełnej zimie rusza z jednym lub dwoma towarzyszami ku upatrzonemu legowisku. Uzbrojeni są w strzelby, piki, i siekiery i mają z sobą kilka szkaradnych, maleńkich psów lapońskich. Kierujący łowami ze strzelbą w ręku i piką u boku, staje przed otworem, a towarzysze ustawiają się dogodnie po stronach. Pika lub długa ostro zacięta tyka niepokoi pana Nalle (tak go tam żartobliwie nazywają). Gdy wyjdzie, stojący na boku tnie go w łeb siekierą, inny zaś gotuje się do strzału. Zdawałoby się, że jeden człowiek i jedna siekiera do tych łowów wystarczają, lecz zdarza się często, że w budowisku leży matka z rocznemi już dziećmi, w takim razie strzelba i pomoc towarzyszów bardzo są pożądane. Kiedy cięcie siekierą było trafne, niedźwiedź cofa się, ale z przodu i boku niepokojony, wypada wnet rozwścieklony, szukając w ucieczce ocalenia. Wtedy wpadają nań pieski, dotąd na sforze trzymane. Lubo wielkości pokojowców, atakują zaciekle, osadzają go, szczekają zajadle i szarpią. Niedźwiedź siada i grozi im swemi łopatami, psy odskakują i z tyłu mu zagrażają, ale niedźwiedź, właśnie o tę część ciała według zdania Lapończyków najbardziej troskliwy, obraca się w koło i łapami miota, a gdy którego z psów nią dosięgnie, to już pewnie martwy pada na ziemię. Tymczasem nadbiega strzelec, odwołuje pieski i zwraca ku sobie uwagę niedźwiedzia. Rzuca rozżartemu czapkę, on się podnosi i idzie ku strzelcowi, w tej chwili pada zwykle śmiertelny strzał, lub gdy niedźwiedź tylko raniony, oczekuje go myśliwy z piką i dobija nią. Pewien Lapończyk opowiadał mi, że spisa mu się złamała i że niedźwiedź przywalił go całym ciężarem swoim na ziemię. Wiedząc, iż niedźwiedź ostatnich już sił używa, nie stracił przytomności, zwłaszcza że gruby kożuch go chronił, wyciągnął nóż, i zadał mu nim cios śmiertelny, ale niedźwiedź dobrze go naznaczył, a zdjąwszy odzież ukazał mi głębokie blizny na grzbiecie.“

Żmudzini wychodzą na niedźwiedzia uzbrojeni tylko widłami żelaznemi. Spotkawszy się z nim drażnią, on wstaje i idzie wprost ku napastnikowi, który wołając ciągle *kuki, kuki, kuldejseni* (pójdź tu, pójdź tu kochaneczku), przyklęka na jedno kolano, trzon wideł opiera o ziemię, a ostrze wymierza w piersi niedźwiedzia, który pada na nie chcąc dosięgnąć człowieka.

W Galicyi i Siedmiogrodzie stawiane bywają na przesmykach żelaza, do których przymocowany jest łańcuch, a przy nim wisi na silnym sznurze zawieszony na drzewie ciężki kloc. Niedźwiedź pochwycony jednym z takich żelaz usiłuje się uwolnić lub przegryźć łańcuch, zawiesza się w końcu na drzewie i ginie. Myśliwemu, który obchodzi przesmyki, wskazują włóczone żelaza, łańcuch i kloc ofiarę swych zabiegów.

Steller opowiada, iż mieszkańcy Azyi stawiają budowę, złożoną z ustawionych sztucznie belków, która, skoro niedźwiedź zbliży się do ustawionej ostrożnie ponęty, zapada się i przygniata go. Używają jako ponęty miodu lub mleka. Wykopują też doły, umieszczają w nich ostro zakończony, okopcony pal, sterczący na stopę panad poziom, i przykrywają dół trawą, liściem i t. d. Na sznurze przywiązują kawał drzewa, które gdy niedźwiedź na sznur stąpi, spada, przestrasza go gwałtownie i napędzą ku dołowi i ostremu palowi na którym się przebija. Kamczadale kładą na zwykłych przesmykach deski z ostrymi hakami, na nich miód jako przynętę, a przed niemi owe drzewa straszące. Niedźwiedź przerażony wpada na haki, i utkwiwszy w nich łapy, nie może się wydobyć. Wpada w wściekłość, miota się i zahacza wszystkiemi czterma łapami. Zmęczony i osłabły pada unosząc deskę na swych łapach w górę, a ludzie dobijają go wtedy spisami.

W zabawny sposób łowią go chłopi nad rzekami Leną i Ilmem. Przytwierdzają do ciężkiego kloca sidła z mocnego powrozu, i kładą je na przesmykach po nad przepaścistem urwiskiem. Skoro się sidło ściągnie, pochód jego wstrzymuje kloc. Rozgniewany niedźwiedź zwraca się ku niemu, chwyta w łapy i z największą siłą rzuca w przepaść, lecz równocześnie gwałtownie przezeń pociągnięty, sam w nią wpada i rozbija się. Jeżeli po takim upadku ma jeszcze dosyć sił, to wynosi kloc na górę, i rzuca go powtórnie w przepaść. Powtarza się to tak długo, dokąd sił nie utraci lub spadając w przepaść nie zabije się.

Używane też bywają drzewa krzywe, na których umieszczone są sidła (kluczki), a przy nich zawieszone ścierwo. Niedźwiedź wyłazi na drzewo, a dosięgając ścierwa, zawiesza się na kluczce.

Kamczadale chcąc zabić niedźwiedzia w legowisku, zamykają otwór jego w następny sposób: gromadzą mnóstwo drzewa i układają je w większej szerokości, jak otwór legowiska, poczem po kawałku wsuwają w otwór. Niedźwiedź chwyta każdy kawałek i kładzie koło siebie, wreszcie nagromadzi tak wiele drzewa, że się ani obrócić ani nawet ruszyć nie może, — wtedy wkopują się do niego z góry i zabijają spisami.

W okolicach leśnych, w których pszczoły same się roją lub bywają hodowane, zawieszają na drzewie lub na ulu przed otworem ciężki kloc. Niedźwiedź pragnąc dostać się do miodu, w czem mu kloc staje na zawadzie, odsuwa go zrazu lekko i w tej chwili otrzymuje uderzenie. Rozgniewany i zniecierpliwiony coraz silniej go odtrąca, coraz też silniejsze odbiera uderzenia. Kończy się zwykle ta komiczna scena zupełnem odurzeniem niedźwiedzia, a nawet śmiercią.

Bywają też niedźwiedzie upajane mocną wódką zmięszaną z miodem, i w stanie upojenia i zupełnej bezwładności w klatkach umieszczane lub zabijane.

Na Uralu zawieszają deskę, przywiązaną cienkim sznurem z kory do ula. Gdy niedźwiedź wdrapie się na drzewo i stanie na desce, sznur się zrywa, a on pada na ostre pale i przebija się.

Podaliśmy wszystkie sposoby, jakie przemysł prostych ludzi wymyślił w celu tępienia lub chwytania drapieżnych niedźwiedzi, nie wszystkie wieńczone bywają pomyślnym skutkiem, a Reumann stanowczo twierdzi, że łapanie niedźwiedzi w doły wcale nie jest odpowiednie, a upajanie wódką — prostą anegdotą myśliwską. Dodać należy, że w Inflantach według podania Noldego, używają myśliwi łyżw śniegowych, utrzymujących w pościgu na powierzchni podczas gdy niedźwiedź się zapada.

Czasem potykają się myśliwi z niedźwiedziem z lancą w ręku lub kordelasem. Tak polują Rosyanie, Skandynawcy, Siedmiogrodzianie, a szczególnie hiszpańscy „Oseros“, zajmujący się łowami na niedźwiedzie tradycyjnie z ojca na syna. Dwa silne i zajadłe psy ułatwiają im wyszukanie ich w niedostępnych gąszczach gór. Skoro niedźwiedź jest poruszony, stają do otwartej z nim walki, nie mając innej broni, prócz ciężkiego, bardzo ostrego kordelasa i podwójnego sztyletu, który po obu końcach ma potrójne ostrza, we środku zaś rękojeść. Lewe ramię ochronione jest od zębów i pazurów niedźwiedzich grubą i twardą powłoką. Sztylet trzymają w lewej, kordelas w prawej ręce. Tak uzbrojony idzie Oseros na niedźwiedzia, który wspiąwszy się na tylne łapy, dąży ku niemu w celu połamania mu w uścisku wszystkich żeber i kości. Gdy się już z sobą zetkną, wpycha mu odważny myśliwy sztylet po nad piersią. Niedźwiedź czując się ranionym, usiłuje wyrwać utkwioną broń i zwraca gwałtownie łeb ku niej, przyczem wpycha sobie drugie ostrze w pierś, a wtedy zręczny Oseros zadaje mu kordelasem liczne ciosy.

We wsi Morszowa na Uralu żyje dotychczas włościanka, która tym sposobem położyła przeszło trzydzieści niedźwiedzi, i zuchwałą odwagą swoją zjednała sobie szeroko brzmiący rozgłos.

Mimochodem zanotujemy, że w gubernii Archangelskiej zabito w r. 1834 173 niedźwiedzi; — w Siedmiogrodzie w l. 1845 8. 1846 9, 1851 86, 1853 65. 1854 86; — w Austryi (prócz Węgier) 1845 i 1847 183; — w Skandynawii 1746—1860 3456 niedźwiedzi.

Rzączyński (*Historia naturalis curiosa. — Sandomiriae. 1721*) opisując niedźwiedzia mówi, iż jest on tak dzikim, w odparciu wroga tak strasznym, że idąc przeciw niemu wyłamuje w drodze drzewa z niesłychaną siłą, i ogromne kamienie nań ciska. Według jego twierdzenia spią samce w zimie przez dni 40, samica zaś przez cztery miesiące, w których nie żywiąc się przybierają coraz więcej tłuszczu, i że się owym tłuszczem ssąc łapy karmią. Młode niedźwiedzie nie zasypiają, ponieważ kanały w łapach, przez które tłuszcz przechodzi, jeszcze nie rozwinięte, więc żywić się nim nie mogą. W Litwie niedźwiedzie największe. Futro czarne najdroższe. Ofiarowana skóra niedźwiedzicy, cesarzowi Maksymilianowi, przywieziona z Litwy, była przedmiotem powszechnego podziwu. Kluk w kilku słowach określa niedźwiedzia. Do jego rodu zalicza borsuka, jaźwca (*meles*) koata (*lotor*), i wilkoniedźwiedzia (*luscus*), którego w tych słowach opisuje: „ogon ma długi, futro rdzawe, na czole i boku na dół jest białawą kreską naznaczony, z kształtu częścią wilkowi, częścią lisowi podobny. Najduje się w zatoce Hudsonsbay, gdzie są większe i mniejsze. Naszego dzieli na wielkie czarne lub czarno-czerwone, mniejsze bortnikami zwane, i w końcu małe, u których się końce włosów jak srebrne połyskują.“

O niedźwiedziu opowiada Haur (Ekonomika ziemiańska): W łapach ma takową władzę jako małpa albo kot morski, który cały miesiąc Czerwca nie pożywa żadnego pokarmu, tylko łapę liże, jakby swój natenczas odprawuje post, albo jakie suchoty. W górach, w miasteczku pewnem obwieszono kilku złoczyńców o kradzież i o rozbój, o którą tam swawolę nie trudno, niedźwiedź potem w dzień jasny w kilka dni przyszedłszy pod szubienicę i jednego złoczyńcę z nich urwawszy, śnieg (bo to się stało w zimie) odgrze-

bawszy, dół wykopał, i bez wszelkiego naruszenia trupa, wcale pod tąż szubienicą pogrzeb mu sprawił. Ludzie z podziwieniem na tę patrzyli tragedyę, którą to odprawiwszy funkcyę, poszedł w górne lasy. Co w tem było za misteryum, różnie o tem ludzie rokowali, jeżeli w tym obwinionym uczynku znajdować się być niewinnym, co jest sędziom na przestrogę. — Żółć niedźwiedzia jest pomocna przeciwko padającej niemocy i paraliżowi.

Oczy niedźwiedziowi wyłupione i na lewem ramieniu powieszone febrę kwartanę uśmierzają.

Sadło niedźwiedzia dzieciom i starym ludziom na przepukliny i wychodzące wnętrzności w moszny smarowaniem goi i leczy.

Mózg jego szkodliwy, aby go nikomu nie zadawano, strzedz trzeba, od którego przychodzi szaleństwo i od rozumu odejście.

Oko prawe wyłupione ususzywszy, powieszone na szyi dzieciom, strachy i lękania, osobliwie nocne oddala i uśmierza.

Sadło łupieże z głowy goi i parchy zpędza i czyści, toż sadło włosuje czoło, dobrą zaraz człowiekowi sprawuje pamięć w różnych potocznych sprawach."

Pożytek z łowów na niedźwiedzie jest znaczny. Nadgroda, jakie rządy za tępienie owych szkodników wyznaczają, nie jest tak wielką, iżby się stała podnietą do tak groźnych zapasów, — jest nią raczej urok rycerskiego czynu, a obok tego inne materyalne korzyści. 200 kilogramów mięsa znaczny stanowią dochód, nie mniejszy futro, a tłuszcz niedźwiedzi bardzo jest poszukiwany, biały, nigdy nie krzepnie, dobrze zamknięty nie psuje się, a jego pierwotny wstrętny smak, przegotowany z cebulą, ustępuje. Niedźwiedź zabity w jesieni najwięcej go dostarcza. Służy on także jako lek na rany, i ma tę własność, że się pali, służy więc do oświetlenia. — Mięso starego niedźwiedzia jest wstrętnie słodkawe, ale pieczyste z młodego jest przysmakiem, nie mniej łopatki starego pieczone lub wędzone. Najbardziej cenione są łapy niedźwiedzie, ale należy się do ich widoku przyzwyczaić, ponieważ przyrządzone mają postać ogromnej stopy ludzkiej, i z tego powodu obudzają wstręt. Z szampionami zaprawiona głowa niedźwiedzia należy do wytwornych dań. W Kanadzie bywają niedźwiedzie w stajniach tuczone i bite.

Włościanki na Uralu przypisują pazurom, Ostjakowie kłom tajemniczą władzę, myśliwy na Uralu musi zatem dobrze strzedz skóry niedźwiedziej, aby dziewczęta wiejskie wszystkie z niej pazury nie powyrywały, one bowiem, a szczególniej czwarty prawej przedniej łapy, którym dziewczyna młodzieńca potajemnie zadraśnie, zniewalają do miłości gwałtownej. Płacą zatem za pazur do trzech rubli. Ząb jest u Ostjaków talizmanem, który ich chroni od choroby i niebezpieczeństwa, a fałsz i kłamstwo na jaw wywodzi. Nie dziw przeto, że Ostjak położywszy trupem niedźwiedzia, szczęście swoje obrzydliwym tańcem wyraża.

Futro niedźwiedzia zwane n i e d ź w i e d n i ą, której używała szlachta zamożna i uboższa. Do delii i szub używano młodych niedźwiadków, zresztą wybijano futrami ze starych ściany, okrywano łoża i kładziono pod nogi w zimie. Husarze i towarzysze pancerni nosili niedźwiedzie na zbroi z łbami i łapami, oprawionemi dla ozdoby w srebro lub złoto.

Rzączyński twierdzi, iż tłuszcz niedźwiedzi szczególnie skuteczny w dolegliwościach gośćcowych i w porażeniach, i że włościanie finlandzcy używają wysuszonej skóry niedźwiedziej jako lekarstwa na wszelkie choroby. Dodać należy, iż kozacy nadwołżańscy używają wyprawionych błon niedźwiedzich jako szyb u okien, dostatecznie przepuszczających światło.

Przesąd przypisuje niedźwiedziowi wiele jeszcze innych różnorodnych pożytków, nie możemy się wszakże nad tym przedmiotem zatrzymywać, mało bowiem upatrujemy w tem korzyści.

Przechowały się u nas różne przypowieści i przysłowia, odnoszące się do niedźwiedzia. W tradycyi ludu żyje gadka, iż w czasie przebywania Chrystusa na ziemi, pewien mielnik zapragnął przekonać się o jego boskiem pochodzeniu. W tym celu skrył się pod mostem, a gdy Chrystus z św. Piotrem przezeń przechodził, wypadł nagle z swojej kryjówki, mając zamiar ich przestraszyć. Chrystus ujrzawszy go rzekł: Chcesz straszyć, bądź więc straszydłem — i przemienił go w niedźwiedzia. Takie to ma być pochodzenie tego zwierzęcia w mniemaniu ludowem, i ztąd podobieństwo łapy niedźwiedziej do stopy ludzkiej. Między myśliwymi krążyły też różne o niedźwiedziu przypowieści, twierdzili, iż w porze snu zimowego ssie on łapę swoją i tem się żywi, — że gdy niedźwiedź 2. Lutego, w dniu święta N. Maryi gromnicznej budę swoją zimową rozwala, to mrozy trwać jeszcze będą, przeciwnie jeżeli ją poprawia, rychłej wiosny można się spodziewać. — Chętnie oni zawsze polowali na niedźwiedzia, mniej widząc w tych łowach niebezpieczeństwa, jak w spotkaniu z dzikiem, ztąd poszło przysłowie:

Jak idziesz na niedźwiedzia, gotój łóżko, a na dzika — mary.

Znane też są inne przysłowia, jak:

Z szwagrem na zająca, z bratem na niedźwiedzia.

Spasł się jak niedźwiedź.

Kiedy na niedźwiedzia gałązka spadnie, ryczy, a gdy drzewo — milczy.

Niedźwiedź srogo na gałęź ryka, gałęź spadnie, milczkiem umyka (człowiek w małem utrapieniu biada, w wielkiem milczy).

Gdy niedźwiedzia przemożesz, to go wedle swej woli za nos powiedziesz.

Daje się niedźwiednikowi za nos wodzić.

Nie miej się kotku na niedźwiedzia, bo jak niedźwiedź draśnie — kotek wrzaśnie.

Prowadzą się jak niedźwiedzie w taniec.

Niedźwiedź zdechł, dudy o ziemię.

Lizać łapę jak niedźwiedź.

Nie pij na skórę żywego niedźwiedzia. (Dwaj myśliwi idąc na niedźwiedzia, naprzód skórę jego sprzedali i przepili. W lesie wpadł na nich niedźwiedź, jeden wdrapał się na drzewo, drugi padł na ziemię i udawał nieżywego. Niedźwiedź poturbował go trochę, wreszcie nie słysząc oddechu, odszedł. Towarzysz pytał go, co mu też niedźwiedź w ucho szeptał, drugi odpowiedział: Mówił mi, nie pij na skórę żywego niedźwiedzia.

W ciągu dziejów wszystkich niemal narodów snuje się wątek wspomnień o niedźwiedziu. Jeszcze w pierwszych latach zeszłego wieku było rozkoszą dla królów i książąt puszczać psy do walki z niedźwiedziem. — Jedynie w tym celu hodowano je. — F l e m m i n g opowiada, iż August Mocny miał dwa takie niadźwiedzie. Zdarzyło się raz, iż jeden z nich wymknął się z zwierzyńca Augustenburgskiego, porwał ćwiartkę cielęcia, a gdy rzeźniczka chciała go odpędzić, zadusił ją i dzieci — poczem go zastrzelono. — Wyprowadzano niedźwiedzia do walki w skrzyni, która tak była zbudowana, iż jedno pociągnięcie sznura zdala, odsłaniało ją

i niedźwiedzia zupełnie. Wtedy wypuszczano nań ogromne, wygłodniałe i zajadłe psy. Jeżeli dobrze osaczyły, to jeden człowiek zdołał życiu jego koniec położyć. Na zamku królewskim w Dreznie wyprawiono w r. 1630 po trzykroć takie hece w przeciągu ośmiu dni. W pierwszych dwóch potykało się siedm niedźwiedzi z psami, w trzeciej zaś z olbrzymimi odyńcami, z których pięć padło. — Niedźwiedzie drażniono czerwonem suknem, lub manekinem w czerwone barwy przystrojonym. Zwykle dostojnicy sami zabijali osaczone przez psy niedźwiedzie, a August Mocny jednym cięciem odcinał im łby. — Czasem i w obecnej chwili odbywają się takie hece. W Madrycie walczą byki z niedźwiedziami, a w Paryżu szczwano w początku tego wieku jeszcze upięte na łańcuchach niedźwiedzie psami. Kobell opowiada, iż w takiej walce niedźwiedź łapami się bronił, wymierzając niemi na wszystkie strony potężne razy, a przytem mruczał i ryczał straszliwie. Gdy psy się rozjadły, chwytał jednego po drugim, wciskał pod siebie i dusił, resztę zaś ciężko kaleczył i odrzucał na bok.

Według Rzączyńskiego sprowadził był król Zygmunt I na walne łowy w puszczy Niepołomickiej olbrzymiego niedźwiedzia z Litwy w żelaznej klatce. Starowolski i Paprocki wspominają, iż niedźwiedź ów poruszony graniem psów i wrzawą ludzi, w taką wpadł wściekłość, że przeszło sto ogromnych brytanów popłatał, i wielu strzelców i dostojnej szlachty pokaleczył, a trwożliwego błazna królewskiego Stańczyka wraz z koniem obalił.

Rzymianom dostarczał Libanon głównie niedźwiedzi, mieli też je z północnej Afryki i Libii. Ich opisy tego zwierzęcia wydają się nam bajecznymi. Aristoteles trzyma się ścisłej prawdy. Plinijusz jego słowa powtarza, dodaje wszakże bajki, Oppian opisuje wybornie łowy na niedźwiedzie Armeńczyków nad Tygrysem, a Juljusz Capitolinus daje obraz igrzysk w cyrku, przyczem nadmienia, że Gordjan I. w jednym dniu tysiąc niedźwiedzi do walki wprowadził.

Tyle o niedźwiedziu europejskim, — co wszakże nie zamyka opisu zwierzęcia tego, żyje on bowiem, jakeśmy już u wstępu pobieżnie nadmienili, i w innych strefach, a opis jego mógłby być przedmiotem nie mniej zajmującego obrazu. Naszym zadaniem wszakże jest przedstawić czytelnikom „Łowca“ w zarysach naturę zwierząt, z którymi jako miłośnicy przyrody i myśliwi są w styczności — a po wiadomość bliższą o pokrewnych im pozaeuropejskich odmianach odsyłamy do znakomitych dzieł zoologicznych lub myśliwskich.— Może później będziemy mogli zająć się tym rozleglejszym przedmiotem.

Józef Łoziński.

KILKA SŁÓW O RYBOŁOWSTWIE I RYBACH PRUTU

PRZEZ

C. K.

Może to nieprzyjemne zrobi wrażenie, gdy na samym wstępie tak się odezwę o rybołowstwie, ale cóż robić, choć prawda często nie miła, trzeba ją wypowiedzieć. Już to nie wiem, czy jaka gałęź gospodarstwa krajowego może być gorszą jak rybołowstwo w tutejszych potokach górskich, a osobliwie w Prucie. Wszelkie możliwe sposoby bywają tu używane dla dopięcia celu — wyniszczenia ryb. Wędki, saki, sieci rozmaite, ba nawet trutka i dynamit znajdują znaczną liczbę stronników, i dokonują dzieła zniszczenia. Główny powód tak zgubnego gospodarstwa leży w tem, że rybołowstwo bywa zwykle wydzierżawiane przez ludzi, którzy najmniejszego wyobrażenia o racjonalnem gospodarstwie nie mają, a jeżeli mają, to chęć zysku przełamuje wszelkie skrupuły i tworzy zdanie: co na placu, to nieprzyjaciel. Dzierżawcami takimi zazwyczaj bywają żydzi. a u nas niestety znane jest aż nadto gospodarstwo naszych braci wyznania mojżeszowego. Z każdej najmniejszej rzeczy starają się oni jak największe korzyści wyciągnąć, a ryby właśnie są owym: *güt Geschäft*, bo jak dobrze idzie, to *fein* można zarobić. To też w tym kierunku żyd ciągle pracuje, a szczerym pomocnikiem jego w tej pracy jest Hucuł. Prawem zabronione jest łowienie pstrągów od 1. Września do 1. Stycznia. Zyd pachciarz przynajmniej tę porę uszanuje, ale nie czyni tego z poczucia obowiązku, z poczucia potrzeby ochrony ryb, ale z prostej obawy kary, utraty prawa dzierżawy. Hucuł niczem się nie hamuje, owszem tarło pstrąga, które w tej porze przypada, przysparza mu dziesięćkroć większych korzyści, aniżeli całoroczne, mozolne łowienie wędką. Opiszę tu w krótkości, jakich przyrządów używają Huculi do łowienia ryb. Sieci są dwojakie: większe „*wołoki*“, mniejsze „*żerdnyci*“. Wołoki są co do długości i szerokości rozmaite, stosownie do szerokości i głębokości wód, w których łowią. Używają ich w miejscach głębszych, tak zwanych „*płesach*“. Drugi rodzaj sieci jest żerdnycia, do 1½ łokcia długa i tyleż szeroka. Końce jej zawieszone na tykach, czyli żerdkach, zkąd nazwa jej pochodzi. Obie składają się z trzech sieci. Środkowa sieć jest o gęstych oczkach i obwisła, dwie inne siecie otaczają tę środkową z obu stron, jednakże co do szerokości są trochę mniejsze i o wielkich okach. Gdy ryba wpadnie przez oka większej sieci, potrąca płynąc naprzód środkową sieć, i wraz z nią wpływa w oka drugiej sieci tak, że w ten sposób ryba znajduje się jakby w torbie, do czego właśnie owa obwisłość średniej sieci służy.

Wędki są także dwojakie: „*hłystunka*“ do mętnej wody, „*perewycia*“ do czystej wody. W hłystunce nakładają glistę dżdżownicę „*hłysta*“, i używają podczas mętnej wody, w którym to celu częstokroć nawet mącą ją. W perewyci nakładają na haczek pewien gatunek muchy, która ponad cienistymi potokami przebywa, którą to muchę perewycią nazywają, zkąd i nazwa wędki pochodzi. Często zarzucają wędki nocne. Wędka ta skręcona jest do połowy z sznurków, w drugiej połowie z sierści białej, na której końcu umieszczony jest haczek. Robaki, których tu używają, nazywają „*kubraki*“ a znachodzą się one w małych potokach popod kamieniami w pupkach z drobnych kamyczków utworzonych. Wędki te zakładają na całą noc do wody, przymocowując drugi koniec do drzewa jakiego lub kamienia, i tym sposobem często łowią nawet dosyć wielkiego pstrąga.

Gdy woda wzbierze, a przytem mętna jest, natenczas chronią się pstrągi z środka koryta do brzegów zacisznych. W takie miejsca zachodzą ze sakami, spuszczają je do wody. i ciągną po ziemi do brzegu. Ponieważ woda jest mętną, pstrąg nie widzi grożącego mu niebezpieczeństwa. i daje się ułowić.

Po rzekach i potokach zakładają jeszcze „*werżki*“. Werżka jestto koszyk dowolnej długości, nie dłuższy jednak, jak 5 stóp, na jednym końcu otwarty, o średnicy ¼ długości całego koszyka, z drugiej strony zamykający się. Od otwartego końca wchodzi w środek wielkiego koszyka, koszyk mniejszy ⅓ długości całego wielkiego koszyka, który zwęża się do środka

coraz bardziej, aż dojdzie takiego otworu, w którymby się pstrąg pomieścić mógł. W miejscach gdzie woda tak zwane szypoty tworzy, wkłada się werżkę otworem w dół biegu rzeki, i zamyka się kamieniami wszelkie przejścia wody do góry tak, że dla pstrąga jedyna tylko droga przez otwór werżki pozostaje. Werżkę tę zakłada się na noc, a to z tej przyczyny, że pstrąg zwykle rusza w nocy do góry wody, a osobliwie lubi takie szypoty. Spotkawszy taki szypot, silnie przebija się przez wodę, a natrafiwszy na otwór werżki, gdyż innego niema dla przemknięcia się w górę, wpada do werżki zkąd już napowrót wydobyć się nie może. Werżki te robią z cienkiej, młodej wikliny, i związują łykiem. W jednej nocy znalazłem był pewnego razu w takiej werżce, na małym potoku 8 pstrągów, i to dość wielkich. Tego sposobu używają osobliwie podczas tarła, a wtedy całemi hurmami wpadają pstrągi do werżki.

Podczas zimy wyrębują w lodzie płonki. W nocy wychodzi dwóch huculów do takich płonek, — jeden przyświeca łuczywem, czem zwabione ryby cisną się do płonki, a wtedy drugi hucuł wybiera większe sztuki, przebija oszczepem, tak zwaną *„ostą“* i wyciąga na lód. Osta, jestto długi drąg, opatrzony na końcu trzema lub pięciu żelaznymi zębami.

Gdy rzeka lub potok dzieli się na kilka ramion, natenczas odwracają jedną z tych odnóg w ten sposób, że zatrzymują drzewami, deskami i murawą napływ wody z koryta głównego do ramienia, a na drugim końcu ramienia zakładają sak. Ryba czująca ubytek wody, uchodzi wraz z wodą w dół, tu jednakże wpada na zastawione saki. Tę, która pozostała po miejscach głębszych, wyłapują rękami lub sakami małymi.

Najzwyklejszy sposób łowienia jest tak zwane *„tamowanie“* Podczas niskiego zwierciadła, tam, gdzie koryto rzeki ma lekki spad, starają się to koryto w coraz ciaśniejszy bieg wprowadzić. Uskuteczniają to w ten sposób, że małym wałem kamieni od brzegu do środka rzeki, pod ostrym kątem, sprowadzają wodę w ciaśniejsze koryto, najwięcej 5 stóp szerokości. U tego otworu kładą *„liskę“* a na końcu tejże sak mocno do niej przywiązany. Woda, której koryto zostało zwężone, silnym spadem wpada na liskę, a następnie w kształcie małego wodospadu wpada w sak. Dla silniejszego nawału wody w sak, podnoszą jeszcze do tego trochę liskę. W pewnej odległości od liski, przerzucają przez całą szerokość rzeki sznur *„łanc“* na którą nawinięta jest choina, białe deszczułki i kamienie w celu nadania wagi. Następnie staje koło sznura kilku chłopów z drewnianymi drągami, skutymi na końcu żelazem, i posuwając się wraz z sznurem w dół rzeki, uderzają drągami wodę i kamienie, i wypłaszają rybę w dół. Sznur ten zaś służy do odstraszenia pstrągów w razie, gdyby chciały się do góry przedrzeć. W ten sposób pędzą je aż do liski, gdzie pstrągi zmuszone przez pędzących chłopów, wskakują do saków, skąd silny spad wody przeszkadza im wydobyć się, zawsze jednakże, gdy hucuł zbliża się do saka, zachowuje ostrożność, idzie do saka schylony, i zwolna zbiera sak.

Huculi wprawdzie dynamitu nie używają ale zato niektórzy z tych, co to mają wielką pretensyę do wyższego wykształcenia, rzucają w jakimś spokojnem zaciszu, od nikogo nie niepokojoni, dynamit, z czego wszakże więcej mają straty jak korzyści, bo pstrągi zabite zostają pod kamieniami, zkąd je już cuchnące niekiedy powódź wydobywa, a tylko mała ich część wypływa na wierzch. Zazwyczaj po jednym strzale niema już ani jednej rybki w wodzie tam, gdzie przed chwilą setki się roiły. Chłopcy, pastuchy mianowicie, rzucają często dla zabawki trutkę, zmięszaną z chlebem lub kuleszą i odrobiną wódki. Trutkę tę kupują po małych sklepikach żydowskich. Sposób ten jest tem bardziej barbarzyński, że zwykle sam nasiennik się truje, sama młodzież.

Z jakąż radością powitaliśmy ustawę sejmową, regulującą rybołowstwo krajowe, a szan. Towarzystwo łowieckie niech raczy ze swej strony poprzeć tę tak ważną sprawę. Zakazaćby mianowicie należało trucie ryb, zabijanie dynamitem. Ostę, nawet wędkę możnaby zabronić dla tego, że jestto zbyt wielkie barbarzyństwo męczyć biedną rybę wyrywaniem z pyska jej haczków. Głównie wypadłoby oznaczyć pewien stały czas do łowienia i ochrony ryby, postanowić straż, któraby czuwała nad rybołowstwem, i winnych pociągała do odpowiedzialności. Wszelkimi środkami trzeba się starać o rozmnożenie ryb, a nawet o zaaklimatyzowanie innych, jak n. p. łososi. Pamiętam przed kilku laty były w Prucie *„hołowatycie“* głowacice *(Salmo hucho)*, przebywały one po miejscach głębszych, jak np. w wodospadzie Prutu koło Dory, powódź jednakże wyniszczyła je zupełnie. Bez trudności możnaby je znowu rozmnożyć, tem bardziej, że w pobliskim Czeremoszu znajdują się. Otóż założenie rozsadnika rybnego mogłoby być nader pożytecznem w celu rozmnożenia ryb.

Następnie nie powinno się wynajmować rybołowstwo ludziom, którzy nie są do tego uzdolnieni, a nawet z początku wcale nie wydzierżawiać, przynajmniej przez trzy lub cztery lat. W taki sposób mogłoby się znowu rybołowstwo podnieść, bo znaczne może przynosić dochody, a dziś niestety stan ryb tak się pomniejszył, że sami chłopi mówią: *nema seho roku zaribku na rybi, wże w rici* (Prucie) *niczo pistruhiw* (pstrągów) *nema.*

Naturalnie, gdy takie gospodarstwo dłużej potrwa, nasz Prut dostarczy zdrowej kąpieli, ale ryb w nim wcale nie będzie.

Dora 5. Marca 1879.

POLOWANIE „PAR FORCE“

PRZEZ

ADAMA Br HEYDLA.

Umieszczając doniesienia, odnoszące się do wszelkich gałęzi łowiectwa i epizodów w zakres powyższy wchodzących, sądzę, iż udzieli szan. Redakcya miejsca w swoim Piśmie dla wzmianki o polowaniu *par force* na Podolu galicyjskiem. Celem jej jest pobieżne przynajmniej obznajomienie z nowszym u nas rodzajem myśliwstwa, któremu większość*) odmawia prawa obywatelstwa, zarzucając mu wyciąganie za sobą wielkich wydatków, odmawiając wszelkich właściwości łowieckich, pomawiając w końcu zwolenników tego polowania o anglomanję.

Przedstawiwszy w krótkości polowanie nasze *par force*, myślę, że dostateczną dam odpowiedź na zarzut pierwszy, aby zaś niedowiarków przekonać o niesłuszności drugiego, nie pozostawałoby nic pewniejszego, jak oddać niemyśliwemu, nie znającemu natury zwierza z teoryi i praktyki, prowadzenie *meuty* na polowaniu, a osiągnięte rezultaty wykazałyby, czy

---

*) Do tej policzyć się musi i Redakcya „Łowca“. Polowanie *par force* nie jest według naszego zdania myśliwstwem, lecz raczej sportem, którym możni panowie angielscy lubią się bawić. Lubo pod względem materyalnym z lordami żadną miarą mierzyć się nie możemy, ani też owego naśladownictwa zalecać nie chcemy, to jednak prawdziwie męzkiego sportu naganiać nam nie wolno, chociaż w obręb łowiectwa naszego przyjąć go nie możemy, a zwolenników tego sportu raczej jako miłośników koni, nie zaś za myśliwych uważamy. —

zmysł krytyczny wystarcza do przeprowadzenia rzeczy, której się nie rozumie, a jednak stanowczo o niej wyrokuje. W końcu co do trzeciego zarzutu, jeśli anglomaniją jest naśladownictwo i przyswojenie sobie w jakimkolwiekbądź kierunku tego, co jest dobrem u najrozumniejszego narodu na świecie, to niczego bym więcej nie pragnął dla siebie i kolegów moich, jak dostąpienia zaszczytu zasłużenia sobie na nazwę anglomanów. Że rzecz każda praktyczna, w zasadzie słuszna, zbawienna, w wykonaniu wielu niedokładnościom podlega, jest naturalnem, a usterki formy za nadto ludzkiéj naturze są wrodzone, aby do tego stopnia trafność sądu bałamucić mogły, iżby drobne pozory istotne ocenienie rzeczy psuły.

Polowanie *par force* t. j. polowanie z psami goniącymi głosem zwierza po tropie tak długo, aż tenże znużony, coraz bliżej przez psy ścigany, w końcu ich łupem się staje, — było u nas w Galicyi po raz pierwszy o ile mi wiadomo, w Łańcucie, u hr. Alfreda Potockiego, ojca teraźniejszego namiestnika, wprowadzone. Świetne były następnie czasy dla tego rodzaju polowania przed laty dwudziestu kilku w Jarczowcach, u hr. Juliusza Dieduszyckiego, który trzy meuty, w rozmaitych odstępach czasu, z Anglii sprowadził. Stado jarczowieckie, wówczas u szczytu doskonałości i zasłużonéj sławy, wiele polowaniu *par force* zawdzięczało. Dowodami wytrwałości i dzielności w pościgu za psami, zyskiwały konie na wzięciu, dając zarazem właścicielowi możność ocenienia ich wartości w pracy, wskazówki niezbędnéj dla każdego prawdziwego i sumiennego miłośnika stada. Gospodarz w koło siebie gromadził młodzież, zachęcając do chowu koni i polowania, a że słowem i okazami swego stada przekonywać musiał, dowodzi liczny dotąd jeszcze zastęp aż nadto zatwardziałych zwolenników i naśladowców systemu, łączącego się u nich z urokiem wspomnień młodości, dla których niezbitym świadectwom postępu i udoskonalenia żadną miarą poddać się nie chcą.

Polowania jarczowieckie zostały zastąpione pierwszem towarzystwem akcyjnem w Konopkówce, miejscowości o trzy mile na południu Tarnopola położonej. Towarzystwo to składało się z dość znacznej ilości członków, a prezesem (Master) został obrany Włodzimierz Cielecki. W pierwszym roku polowano z meutą *fosehoundów* hr. Juljusza Dieduszyckiego. Hundsmanem był rusin Andruszko. Następnie sprowadzono *harriersy* z Anglii, gdy jednak towarzystwo akcyjne istnieć przestało psy przeszły w posiadanie byłego prezesa i pp. Oktawa Orłowskiego i Mikołaja Wolańskiego. Meuta wspomniana złożona z doskonałych i średnio rączych psów, długo się utrzymywała, polując kolejno u wymienionych trzech jej właścieieli, a prowadzone przez swojskiego Huntsmanna, wywiązywała się z zadania swego prawie zawsze dobrze a często nawet świetnie.

Druga asocyacya akcyjna zawiązaną była w Grzymałowie r. 1870 pod przewodnictwem Kazimierza Tuczynskiego. Psy z Węgier sprowadzone celowi nie odpowiedziały, i Towarzystwo w krótce po założeniu istnieć przestało.

Własne meuty posiadali hr. Włodzimierz Baworowski w Strusowie i Erazm Wolański w Czarnokońcach. W końcu dwie jeszcze przybyły w r. 1877 i te do dzisiaj exystują. Pierwsza hr. Wilhelma Siemieńskiego w Chorostkowie, liczna i złożona z harriersów, prowadzonych po mistrzowsku przez Huntsmanna anglika Haberfield. Druga meuta złożona z fosehoundów i harriersów z Anglii i Węgier sprowadzonych, będąca własnością wspólną Wł. Czaykowskiego, Stanisława hr. Pinińskiego, K. Tuczyńskiego i podpisanego, poluje w różnych stronach Podola u tychże właścicieli, ostatniej jesieni z zadowalniającym już rezultatem.

Co kraj, to obyczaj, — mieszkaniec też stepów Podolskich zającem gardzić nia może, a przestrzeń i teren na konia wsiąść nęcą, gdyby zaś w sztuciec i kordelas uzbrojony z ogarami w Trawnę, Baby lub Pantalichę na spotkanie odyńca się wybrał, wyglądałby na Don Kiszota, zmuszonego do atakowania zamiast wiatraka, spokojnie pasące się trzody.

W naszem więc kole myśliwych, szarak ważną rolę odgrywa. Wiadomo, że każde polowanie wkładów pieniężnych wymaga, nie mam więc zamiaru dowodzić, że parforsa bez nich się obejdzie, twierdzę jednak, że nie wymaga wcale znaczniejszych nakładów, jak każde większe polowanie w kraju naszym. Akcya towarzystwa, którego jestem członkiem, nie wiele przewyższa roczną wkładkę w Lisowicach, a tam członków kilkunastu, nas zaś czterech tylko. Im wyższy stopień doskonałości w urządzaniu łowiectwa, tem większe koszta. Nie zważając więc na nie, za wzór w Galicyi meutę hr. Siemieńskiego wziąć można, której żadna krajowa, teraźniejsza i dawna, pewnie nie przewyższyła, a może i nie dorównała. Błędnem podobnie jest mniemanie, jakoby w polowaniu tem tylko na koniach przeważnej rączości, znakomicie skaczących, wysokiego rodu, a więc bardzo kosztownych udział brać można. Nie goniąc jelenia lub lisa, lecz skromniej nie na długi czas wytrwałego zająca, wystarczy w braku innego każdy galicyjski koń w cenie od 150 do 400 zł., któremu dobry apetyt i zdrowe nogi pozwolą kilka razy tygodniowo wytrzymać myśliwskie trudy. Trening i kondycya wyścigowa nie tylko tu zbytkiem, ale nawet ciężarem, nie mogąc bowiem opanować niepohamowanego bieguna, miniesz prędko towarzyszy, huntsmana i psy, z goniącego staniesz się gonionym, zmęczysz siebie i szkapę, zarzucając w końcu, że wszystko żółwim krokiem lezie. Przeszkód większych na Podolu bardzo nie wiele, natknąwszy zaś na zaporę rudą zwaną, nie do przebycia prawie, najrodowszy koń, najświetniej skaczący, nie wiele lub nic nie pomoże, częściej nawet zaszkodzi, bo brak wrażliwości z drobniejszą energią, te u koni własności mniej szlachetnych ras, są pewnie niezbędnym warunkiem dla jeźdzca, szczęśliwego przesadzenia rudy na grzbiecie wierzchowca swego. Nie trzeba też, jak z poprzedniego domyślić się można, znakomitym być i determinowanym kawalerzystą, by z psami angielskimi zająca forsować, a dowodem tego są 12 lub 14 letnie dzieci na kucach od włościańskich koni pochodzących, które równocześnie prawie z innemi często przy halali się znajdowały. Najważniejszą zaletą w dojeżdżaniu jest spokój, by konia nie zmuszać do natężeń niepotrzebnych, lub też siły jego przechodzących. Rozumie się jednak, że koń dzielny i jeździec dobry znajdą tu nie jedną sposobność popisu, jeśli jej koniecznie poszukać zechcą.

Forsowanie zająca, jak już powiedziałem, należy do najłatwiejszych pod względem czasu, przeszkód, szybkości i odległości, którą przebiedz trzeba. Inaczej rzecz się ma z kombinacyą myśliwską, tej bowiem wytężenia wymaga zając swojemi dwójkami, zaskokami, kołami i przypadaniami w wyższym stopniu, jak zwierzęta pomykające prostemi linijami i przebiegające znaczne przestrzenie w dalekie lasy lub inne schronienia Margrabia de Cherville w opisie swoim polowania *par force* utrzymuje: *pour forcer un liévre coulamment, il faut etré véneur consommé, et posséder une meute parfaitement dréssée.* Prawdę tych słów ocenić można w całości przy niedobranej psiarni, nie sprzyjającem polu i szaraku liczącym bardziej na swe wybiegi, niż skoki. U stepowych zajęcy zdarzają się wyjątki pożądane dla myśliwych, zbyt rzadkie niestety, by na rodzaj całości polowania stanowczo wpłynąć mogły. Mowię tu o tych wybieganych stepowych graczach, które ufne w swą ra-

czość, gardzą wszelkiemi kombinacyami, i ruszywszy z miejsca w podskokach, bez chwili wytchnienia, w prostej prawie pędzą linii, okiem ludzkiem niedostrzeżeni. — Giną w końcu, przebiegłszy około półtory mili, a myśliwi, którzy jeśli teren grząski, a psy raźno goniły, nie wszyscy u celu stanęli, i z zadowoleniem policzyć się mogą, podziwiają wtedy krótką i zwięzłą budowę, małą, suchą głowę i dłuższe jak zwykle skoki kota skostniałego już i jak drut wyprężonego, ciesząc się oraz wytrwałością swych koni lub lekką nogą własną, wiele tu znaczącą. Nie brak też nieraz epizodów komicznych, malowniczych w łowiectwie ciekawych lub rzadkich. Galopując za goniącą psiarnią po płaszczyźnie Trawną zwanéj u Oktawa Orłowskiego w Połowcach, ujrzeliśmy w dali stado wrzeszczących wron, towarzyszących orłowi przedniemu (*aquila fulva*), którego biały u nasady ogon i jaśniejąca ku słońcu głowa, z daleka rozeznać dozwalały. Przekonaliśmy się wkrótce, że ptak ów ciągle przed nami w pewnej unoszący się odległości, bije na pomykającego zająca, który myśląc z jednej strony o przyzwoitem odsunięciu się od psów, z drugiej zaś o skutecznej ochronie od bijącego nań orła, koziołkami lub przypadaniem pod miedzę lub bryłę roli ocalić się pragnął, w końcu co raz więcej z lotnym nieprzyjacielem jako bliższym się licząc, dozwolił tyle zbliżyć się psom, iż go wzięły na oko. Orzeł z orszakiem wron unosił się nisko, poprzedzając psy, co z tyłu widziane złudnic jednolitą tworzyło meutę na roli początek swój biorącą, a kończącą się w powietrzu. Dwa królestwa zwierząt goniły razem biednego zająca, nic bowiem nie łączy tak zgodnie, jak cel wspólny prześladowania. Siły nie dozwoliły szarakowi dosięgnienia nie zbyt odległego już gaju. Nie orła, lecz psów stał się łupem, bo tych wspierała protekcya człowieka, na którego korzyść dodać winienem, iż nikomu z obecnych nie przyszło na myśl żałować, iż nie mógł z powodu braku palnej broni zgładzić pięknego ptaka, który siadł nie daleko na stercie pszenicy, przypatrując się psiej uczcie, nie dumnie, po królewsku, jak sądzę, lecz raczej z zawiścią zawiedzionego łowca.

Innym razem na polowaniu u K. Tuczyńskiego przepłynął zając rzekę Zbrucz, psami wcale z bliska nie szczuty. Nawoływaniem dziewczyny wiejskiej z przeciwległego brzegu już Wołyńskiego strwożony, zwrócił się nazad śmiało na sztych kilkunastu konnym myśliwym, i niespokojnie uszami strzygącym psom, wstrzymywanym grozą wzniesionego batoga od wodnej ekspedycyi. Wyjątkowy ten reprezentant trwożliwego swego rodu, łącząc z odwagą przebiegłość, tak umiał zmylić tropy, po bitych drogach, suchych ugorach, przechodząc tu przez lasek, tam znowu pomiędzy pasące się owce (co wszystko psom pogoń utrudniało, szczególnie że zwierz w wodzie skąpany mniej na swym szlaku emanacyi tracił), iż w końcu z całą skórą uszedł.

Zdarza się, że psy straciwszy trop, długo daremnie szukając i sylabizując, nagle stanowczo i z animuszem gonić poczynają. Radość ogólna, niecierpliwie puszczają się na rozbrykanych koniach myśliwi za nimi, domyślając się, jak też daleko pędzić wypadnie, ciesząc się naprzód pomyślnym rezultatem pogoni, aż tu z za mogiły wyjrzał napłoszony kondel, lub co gorzej chłop zdziwiony z butami na plecach. Psy zawstydzone z spuszczonemi uszami, odbierają razami i głosem zasłużoną karę, jeden tylko młodzik, niepewnego jeszcze wiatru, ale nożny przypatruje się nie opodal, pysk łapą gładzi, nie szczerą udając skruchę, rad, że mu się psotą zwieść psiarnię udało, co go od mozolnej i nudnej pracy po suchem polu uwolniło. — Nie małe to, a konieczne dla huntsmana zadanie, w dokładnem rozpoznaniu usposobień, zalet, narowów i gestów nawet swych elewów. Charakter każdego, przymioty i wady z gruntu muszą mu być wiadome. To wódz małej armii. Objęcie szybkie, decyzya stanowcza, i znajomość żołnierzy, którymi zwyciężyć zamierza, są koniecznymi warunkami powodzenia, inaczej psy okpią jego, a on panów swoich. Jakież bo to w tych bestyach fantazye przeróżne. Ten pełen wyobraźni, przenosi gonienie za dropiami, jastrzębiami i wszelkiem ptactwem, zdala wznoszącem się ku obłokom, na których tle ponętniej mu się przedstawiają; inny stanowczo praktycznym łowom na myszy i susły pierwszeństwo oddaje; tamten znowu systematyk, pewną tylko ilość czasu za domem przebywać zwykły, w połowie polowania niezmiennie do zagrody wraca. Jeden daje głos z desperacyi za przepadłym tropem, drugi dla humoru, a oba kłamią. Trzeci doświadczony i małomowny, wąchając ziemię, to znów głowę podnosząc, jak wyżeł macha ogonem, pewny swego, milczkiem, zrazu z wolna, później jak kula odsadza się. Huntsman za nim psy nawołał. Ozwał się też głosik dźwięczny jakiejś reprezentantki słabszej połowy psiej familii, która z subtelną bystrością, swojej płci właściwą, pierwsza się spostrzegła, podążając za cichym, lecz zdolnym towarzyszem. Za panią matką poszła i reszta. Znowu więc biegną psy i myśliwi. Na pochyłej roli w połowie małego pagórka, uniosły się trochę, wnet jednak kołem wróciły, konstatując jednogłośnie miejsce, gdzie „on“ był. Zdanie ich poparte po chwili obecnością zająca, który pośród nieprzyjaciół dając kominka, walkę o życie rozpoczął. Zniknąć już nie może gnany na oko po suchym i ślizkim odłogu, rączym bardzo tempem daje jeźdźcom sposobność w ostatnim tym, tysiąc sążniowym nawet nieraz galopie, do zrobienia wyścigu, w którym posiadacz szybkiego konia prawdziwą znajdzie uciechę. Jama lisia napotkana może zrozpaczonego zajęczynę ocalić, tych jednak na stepie nie wiele, na pewne więc prawie ginąć mu wypadnie. Obojętny już będzie na zaszczyt pośmiertny, gdy huntsmann obciąwszy mu słuchy i omyk, damy obecne i gości z uszanowaniem niemi obdzieli. Huntsmann krajowiec, nie posiadający odpowiednich studyów, ani mogący na praktycznych przykładach się wykształcić, nie dojdzie nigdy doskonałości fachowego anglika, francuza lub niemca. Koszta jednak utrzymania daleko mniejsze, a użycie do tej czynności krajowca czyni parforsę przystępniejszą dla ogółu.

Psów dwa rodzaje u nas używają. Rzadziej większych, silniejszych i szybszych fosehundów, z którymi w Anglii na lisy polują, częściej zaś harriersów, tamże do forsowania zajęcy używanych, posiadających w niższym stopniu wyżej nadmienione własności, ale ostrym wiatrem odznaczających się. Zwykłe polskie psy gończe, od młodości w polu układane, do karności i trzymania się konia przyuczone, mogą być również do parforsy użyte. Wiatr ich dobry, są rącze i silne. brak im tylko wytrwałości w szukaniu, pierwszem niepowodzeniem zniechęcone, zgubiony trop porzucając, nie dają się do gonienia zwierza nakłonić.

By forsowanie zająca mogło pod każdym względem zadowolić, potrzeba psów z ostrym wiatrem i rączych. Racyonalne łowiectwo mnoży ród zajęczy, iżby jak największą liczbę jego wyniszczyć mogło. Zając jednak zamiast niedowierzać cywilizacyi, wybiera drogi bite, ścieżki ludzką stopą wydeptane, ogrody i parki, wpadając tam w najrozmaitsze zasadzki, wystawia też psie nosy na twardą próbę. Z drugiej strony sama już taktyka tego zwierzęcia zmusza do powolnej akcyi, korzysta z rowów, miedz, krzaczków najdrobniejszych, by przypaść i skryć się. Filut, czy nie zdecydowany, co chwila kierunek zmienia, kilkakrotnie tam i nazad pomyka, wreszcie jako domator najczęściej do miejsca, zkąd go wyruszono, zawróci. Przy takich marszach i kontrmarszach gdy psy są wolne i nie

zbyt energiczne, to trzeba z góry przedsięwziąć jechać kłusem, by sobie niepotrzebnych nie robić illuzyi, i nie niecierpliwić konia bez celu. Gdy jednak zając szybkimi psami naciśnięty, o swych sztuczkach zapomnieć zmuszony, w przestrzeni ratunku szuka, wówczas myśliwym twarze się rozjaśniają, a konie weselej parskną, wszystko z podskokiem, jak do ronda spieszy, lecz to już nie polonez poważny, ale najweselszy mazur, jakiego niegdyś Gorayski w Krakowie prowadził. Tak jak tańczyć trzeba, aby być danserem, tak nie wystarcza z upodobaniem przypatrywać się wyprowadzonemu na taśmie długogrzywemu Arabowi, by zyskać miano kawalerzysty. Niech młodzież polska nie zalicza się niesłusznie, jak dotąd do konnego narodu, którym Polacy może kiedyś byli, ale być nim przestali, — niechaj na miano podobne czynem zasłużą nie gardząc tem, czem ojcowie nasi szczycić się byli zwykli. Jeśli komu surdut zielony nie do twarzy, może wdziać inny, byle tylko wsiadł na konia i z nami polował, a jak raz popróbuje, z pewnością powtórzy.

Ważnym jeszcze czynnikiem w polowaniu *par force* jest kondycya psów, do której wytworzenia ruch wolny z szybkim na przemiany, karmienie odpowiednie, niezbędnymi są warunkami. Bez niej zdarza się czasem sromotny wypadek, że zwierz ścigany, siłą psiarnię zwycięża Sądzę, że prócz przykrości łowieckiej w podobnych razach, byłoby uchybieniem dla towarzystw myśliwskich, gdyby zając, nie zajmujący najmniejszego stanowiska, i nie pobierający z niskąd subsydyów, obficiej w doczesne dostatki, opływał od psów, posiadających statuta, księgi rodowe i własny uniform.

Kończę prośbą do przeciwników, by na ślepo nie wyrokowali. Przyjdźcie i patrzcie — mam nadzieję, że będziecie zwyciężeni.

WSPOMNIENIA MYŚLIWSKIE

PRZEZ

KAZIMIERZA hr. WODZICKIEGO.

Polowanie na niedźwiedzie w Karpatach.

Stary czy młody myśliwy, przeczytawszy zapiski A. Barthelesa, w Łowcu umieszczane, uczuł wdzięczne uczucie, rozswobodził umysł, wniknął w duszę znakomitego autora, polował wraz z nim, Litwy zapragnął, a gdy skończył wielce zajmujące czytanie, żal i tęsknota go ogarnęła, gorąco pragnął dalej z nim polować — jeszcze go słuchać. Jak mistrzowski obraz przemawia do widza, cieszy się, boleje i żale wypowiada, tak te obrazki *Tygodnia poleskiego*, łowów na wilki i niedźwiedzie na Litwie, pełne prawdy, prostoty i świeżości, wryte w pamięci, towarzyszą myśliwemu i ubarwiają mu smętne i pełne niepokojów życie polskie, z którego szatan systematycznie wydala swobodę, miłość, zgodę i pomyślność. To też szczerze wyznajemy, że polowanie jest wielkiem dobrodziejstwem, obdarzającem człowieka skarbem swobody i odpoczynku umysłowego, jest to zdrój, z którego czerpiemy ów prawdziwy klejnot życia — s w o b o d ę. Śród lasów, w polu, na bagnach, umysł swobodny jak z więzów otrząsa się z trosk, usuwa niepokoje, leczy dolegliwości, i usiłuje ześrodkować myśli i uczucia w jednym kierunku. Jestto fascynacya, zmagnetyzowanie, idealizowanie człowieka, jestto absorbowanie umysłu — wyrwanie chwilowe z kolei życia. Znałem starych, zużytych rozkoszników, pijących pełną czarą rozkosze życia bez wytchnienia i hamulca, którym wreszcie jak to mówią, przejadło się życie, a nudy ogarnęły umysł, u których zniszczył się organizm, wyschło wszelkie w sercu uczucie, i żaden już im promyk więcej nie świecił To czarna noc przedwczesnej starości! Takich ludzi zimnych już i martwych dla każdej życia rozkoszy, widziałem radośnie drżących na widok lisa, rogacza, a nawet nie ponętnego szaraka, polowałem z tymi młodymi starcami, noszonymi i prowadzonymi, i przekonałem się, że namiętność polowania pokonała w końcu wszystkie inne. Z przekonania, opartego na doświadczeniu twierdzę, że namiętność myśliwska uspokaja, uszlachetnia człowieka, rozjaśnia umysł, tępi złe skłonności, podnosi uczucie, nadaje swobodę i stwarza trzeźwą i zdrową myśl. Częstokroć stojąc w obec olbrzymich starodrzewów, lub w obec tajemniczych gąszczów. nad głębokimi jarami, świadkami kataklizmów przyrody, pamiątkami zniszczenia, nie mogąc pohamować pracy myśli, marzyłem i dumałem nad krajem i społeczeństwem naszem, nad zawziętością stronnictw, namiętnościami politycznemi, nad tą źle zrozumianą miłością własną, upajającą człowieka, nad próżnością, paraliżującą pracę umysłową, — nad tą namiętnością sobkostwa, pochłaniającą w swojem j a społeczeństwo, i wysnułem poglądy na nasze sprawy i sterników, chcących stworzyć bałwany na spokojnem morzu, niecierpliwych, szukających jak nawalniki pożywienia w rozhukanej burzy, a nie w wolnej i nieustającej pracy. Dumając i marząc w oczekiweniu zwierza, mimowolnie wzrastało we mnie przekonanie, iż, gdybym tych nawalników mógł z sobą zabrać w niedostępne bory, zanurzyć ich w skarbach przyrody, oswobodzić ich umysł, wzbudzić wzruszenie i zaszczepić chęć do polowania, to zdaje mi się, że stopniowo jad by ustępował, namiętności stygły, i zwolna miłość bliźniego ogarnęłaby ich duszę, a za nią pojawiłoby się porozumienie, wyrozumiałość, pobłażanie i ta zgoda, jedyne niezłomne ogniwo społeczeństwa.

Wyjąwszy kłusowników, będących złodziejami i rozbójnikami, nie znałem złych ludzi, w pełni tego znaczenia między myśliwymi, zawsze wykrywałem w nich uczucie i swobodę umysłu, nie jeden za nadto bywał ciekawy widzieć dno butelki, lecz i wtedy sprawdzało się przysłowie: *in vino veritas*, widziałem serdeczność, dobre chęci i usposobienie bez zawiści, trującej stosunki. Z prawdą nie byli w zgodzie, a im bardziej wyziewy trunków cisnęły na umysł, tem więcej się ona od nich oddalała, ale te przesady, kłamstwa i ubarwienia jaskrawe nie przynosiły nigdy szkody bliźniemu, a miały urok poezyi, blask świeżości, wzbudzały ciekawość w tej gmatwaninie prawdy z łgarstwem. Dziś dla nich już pole ciaśniejsze, bo teraz polowania wspólne, przy świadkach w przetrzebionych kniejach — to inna scena; lecz dawniej z psami, ze zdrowemi nogami łatwo było na cały dzień zniknąć, a wieczorem opowiadać cuda z tysiąca i jednej nocy. naśladować opowiadania księcia „P a n i e k o c h a n k u“ lub M ü n c h h a u s e n a, być rycerzem niezwalczonym, strzelcem najcelniejszym, pogromcą grubego zwierza. Minęły już czasy samoistnych myśliwych, niepodległych strzelców, a z nimi usuwa się tradycyjne kłamstwo przy wesołej wieczornej biesiadzie z szyderczym uśmiechem lub złowrogim szeptem.

Jeszcze niedawno, bo ledwie lat temu siedm, ciągnąłem w góry z psiarnią, końmi, wozami i strzelcami w celu szukania dzików i niedźwiedzi, bawiąc w lasach po dwa tygodnie, żyjąc życiem koczowniczem, często o głodzie i chłodzie, i ten zawód myśliwski wykonywałem przez lat dwadzieścia i jeden. Cóż dziwnego, że się w pamięci nagromadziło wspomnień krocie

i dramatycznych i krotochwilnych, że mi się snują obrazki rozliczne jasnego i ciemnego kolorytu, że mi umysł ubarwiają, przenosząc całe moje jestestwo w te chwile swobody, rozkoszy, bez trosk, kłopotów i zgryzot, w ten czas rzeczywistych wakacyj i odpoczynku umysłowego. Dziś jeszcze, ze szronem na głowie, to wspomnienie mnie elektryzuje, tęsknota ogarnia, i pragnę gorączkowo tej walki, tego spotkania i mierzenia się ze zwierzem, mieszkającym w puszczach gór. Jak niewiasta w późniejszym wieku z upodobaniem przypomina sobie rumieniec, koralowe usta, krągłość kształtów i ubóstwianą niegdyś kibić swoją; tak i ja wyryłem w pamięci mojej niejednego odyńca i niedźwiedzia, tęsknię za temi łowami, które mi już nie ubarwią życia. Prawda to wielka, że się zmieniają czasy i my z nimi, lecz rozumny i dojrzały mąż umie się do nich zastosować, jego nie porwie z sobą tegoczesny prąd destrukcyjny.

Z opowiadań i skrzętnie zbieranych danych o niedźwiedziach w zabranych naszych prowincyach przekonałem się, że tam istotnie inne jest usposobienie niedźwiedzi, inne zwyczaje, wynikające ze systematów polowania, z położenia dziewiczych lasów, zabezpieczających spokój grubej zwierzynie. Wierzę doświadczeniu na prawdzie opartemu, wierzę więc autorowi polowania na niedźwiedzie na Litwie. Na stronie 155 Łowca w Nrze 10tym z. r. pisze on: „Przy tej okoliczności, jak przy każdej innej, czuję się w obowiązku przemówić przeciw przesądowi, który dla wielu stał się rodzajem pewnika, że niedźwiedź atakuje człowieka na dwóch tylnych łapach. Jestto naprzód najzupełniejszym fałszem, a powtóre niema najmniejszego sensu“ i td.

Otóż moje doświadczenie wykazuje odrębny zupełnie sposób atakowania niedźwiedzia, nie twierdzę, że tenże na tylnych łapach kroczy za człowiekiem, lub go goni, on zbliżywszy się na krok lub dwa siada, sięga łapą, targa, kaleczy i obala na ziemię. Miałem groźne wypadki z dwoma niedźwiedziami, obydwa przyskoczyły do mnie, stanęły na tylnych łapach i sięgały po głowę moją. W Karpatach węgierskich zdarł niedźwiedź leśnikowi skórę z głowy, stojąc na zadzie w naszych oczach. Za hucułem goniła niedźwiedzica, dopędziła go i z niepojętą zręcznością zdarła mu guńkę stojąc na tylnych łapach. Rozwścieklona niedźwiedzica od piastuna, wpadła między siedmiu rozstawionych gończów, siadła, powstała i zmasakrowała dwóch przerażonych biedaków, z których jeden umarł. Również w moich oczach niedźwiedź obsaczony przez pięć psów, ugodzony przez górala toporkiem w kark, jednym skokiem dosięgnął napastnika, dźwignął się, potknął, a chybiwszy głowę zdarł do kości skórę od biodra do kolana, i padł na swą ofiarę. Szybkość tego ruchu, zjednoczenie się tych dwoch istot, były tak nagłe, że pomimo mej broni, zimnej krwi, bliskości, pomimo że byłem przygotowany do strzału, nie mogłem niestety uratować człowieka! — Niedźwiedź według mego doświadczenia więcej używa łap i pazurów, jak zębów, nawet do psów siada i łapą chwyta, ciągnie pod siebie, lub cisnąc do piersi gniecie i gruchocze kości. Straciłem niejednego znakomitego psa, *chevalier sans peur*, nigdy od zębów, lecz zawsze od łapy, zgniecionego z zdruzgotanemi kośćmi, lub wskutek wyrwania szmatu mięsa i krwiotoku. Rozliczne wypadki z mego myśliwskiego życia dowodzą, że niedźwiedź atakuje dźwignąwszy się na tylne łapy, a powaliwszy wroga targa i kaleczy pazurami i zębami. Dwa zdarzenia przypominają mi się o goniącym na czterech łapach niedźwiedziu, raz pędził za psiarczykiem moim, powalił go łapą i pobiegł dalej, drugi raz w szybkim biegu bił łapą psy tak silnie, że z nich najlepsze trzy zaprzestały pogoni, i przez długi czas gonić nie mogły nawet dzików. W Polanicy niedźwiedź gonił starego pobereżnika, wytrawnego myśliwca. Było to w r. 1851. Nim uciekający dobiegł do buka z konarami, niedźwiedź stanął na tylnych łapach, powalił go uderzeniem przedniej łapy, siadł i zadał mu w siedzibę kilkanaście uderzeń, nie skaleczywszy go wcale, pazury tylko znać było bez krwi. Niedźwiedź jednak tak mocno bił, że jego ofiara powstać nie mogła i całą zimę przeleżała, pomimo że w organizmie nic naruszonem nie było.

Przed dwudziestu niemal laty stara, bura niedźwiedzica przed naganką wzięła w łapy piastuna, posadziła go na rosnącym horyzontalnie konarze, i dała się spokojnie gonić, a wyszedłszy na dosyć szeroką liniję i zobaczywszy dwóch myśliwych, dźwignęła się na tylnych łapach, wlepiła oczy w najbliższego myśliwego i straszliwie mruczyć poczęła. Czyby dźwignięta była kroczyła tych kilka kroków, nie mogę zapewnić, celny bowiem strzał powalił ją przedtem, a chłopcy nam przynieśli czarnego mamzera.

Niedźwiedź lubi się dźwigać na tylnych łapach, i uczy młodych tego ruchu, spina się do malin, orzechów, dzikich gruszek i jabłek, chodzi wyprostowany od krzaka do krzaka, nawet o ile moje doświadczenie sięga, jest on do trzeciego roku znakomitym gimnastykiem i włazi na drzewa za owocami, obtrzęsa gałęzie, a widząc rezultat swej pracy, złazi, zbiera a siedząc na zadzie pożera niosąc przedniemi łapami pożywienie do paszczy.

Mam nadzieję, iż nie znudzę czytelników myśliwych szkicami dawnych polowań moich, a to tem mniej, iż one zmieniają się i przeistaczają już to z powodu majątkowych naszych stosunków, już też dla rozlicznych zatrudnień, krępujących nasze życie, nie dozwalających dalszych i długotrwałych wycieczek, a niestety nie zanosi się w naszym kraju na materjalne polepszenie i zdobycie swobody. Los mi na tych polowaniach nie sprzyjał, gwiazda powodzenia nie świeciła, a często niepowodzenie trafiło przy znacznych kosztach i stratach Istne to cierpienie Tantala — być bliskim osiągnienia celu, który się znowu na rok cały usuwa. Kilkakrotnie w chwili ściągnienia cyngla, rzucili na mnie urok Hubert, Diana i Nemrod i jakoby zaklęty lub oczarowany strzelić nie mogłem. Dziwne, iż tak srogie zawody przeżyć mogłem!

I.

Byłoto jeszcze w r. 1839, dzierżawiłem wówczas na lat sześć polowanie w górach Karpackich nad Preszowem, w okolicy dzikiej, poprzerzynanej głębokiemi debrami — w lasach dziewiczych, niedostępnych, nie znających odgłosu topora. Urocze niebo, góry stykające się z chmurami, istny Olimp bez bogów, w dolinach snujące się srebrzyste strumienie w ramach kwiecistej murawy! Nie było tam drobnego zwierza, nie było grubej zwierzyny, lecz co się uchowało, rozrastało się w olbrzymie rozmiary, istne przedpotopowe potwory. Odyńce tam żyły z groźnemi szablami, z czubami na głowie, z grzywą rzeczywistą na krzyżach, podniesioną do góry, — był pojedynek tak rozzuchwalony, że od psów nawet nie trapiony, rzucał się na ludzi, baby i pastuszków, szukał człowieka, aby z nim walkę stoczyć, i to w biały dzień. Najodważniejszemu drgało serce, a nieraz najciętsze psy wzięły ogony pod siebie i przyznały się do tchórzostwa. Żyły tam niedźwiedzie czarne i bure, a rogacze tak duże i szerokie w krzyżach, jak daniele. Niejedne łowy odbyłem w wesołem towarzystwie, dobrawszy sobie dwóch miejscowych Węgrów, właścicieli wielkich lasów, nie przynoszących żadnego dochodu, i wspólnie z doskonałymi przewodnikami włóczyliśmy się po lasach, nie znających prawie stopy ludzkiej. Wtedy to jeszcze większa część Madziarów nie uży-

wała węgierskiej mowy, i mówiła po łacinie i po słowacku. Moi Węgrzy zawsze szwargotali Cicerońską mową, a pomimo że ukończyłem szkoły i nie mało naślęczałem nad łaciną, nie rozumiałem moich towarzyszów, i to mnie doprowadzało do gorączkowej drażliwości.

Na lekkiej ponowie w Grudniu, tropiciel nocujący w lesie oznajmił nam, że niedźwiedź jest krótko otropiony (a nie był jeszcze w gawrze), i że bez psów ludźmi go wypędzimy, bo grzbietem góry ku werchom iść musi, a ku wsi cofnąć się nie może. Jak powiedział tak się też stało, rozstawiliśmy się wzdłuż szczytu, ja jako młokosik stałem ostatni, a koło mnie stary pobereżnik, zwany Niedźwiedziarzem. Góra ta zagęszczona, poprzerzynana głębokimi jarami i odwiecznemi wypłuczyskami, z ostrym spadkiem i ruchomymi, olbrzymimi kamieniami, już w duszy myśliwego obudzała wzruszenie. W okolicy tej noszą górale krótkie kożuszki, które podczas słoty i polowania w zaroślach, wywracają włosem do góry, nakrywają głowy i zasłaniają twarz. Jak dziś pamiętam, stałem pod odwiecznym bukiem, walczącym przez wieki ze śnieżnicami i górskiemi burzami, obrośniętym mchami, hubkami i gulami, z dziupłami i poodmrażanymi konarami. Pamiętał on pewnie pobratanie Węgrów z Polakami, o czem pierwsi dziś widocznie zapominają. Naganka tam odbywa się niemal z busolą, którą każdy góral nosi w głowie, miot co do przestrzeni nieobrachowany, częstokroć wynoszący tysiąc morgów, czas trwania nieskończony. Nareszcie zagrzmiała trąbka, zahuczał róg, ozwali się górale, i polowanie się rozpoczęło. Niebawem słyszę trzask, łomot suchych gałęzi, przewracanie kamieni i toczenie ich w dół łożyska. Urocza chwila, wyższy nastrój duszy, nerwy gdyby struny wytężone, odbywa się walka krwi i namiętności z rozwagą i rozumem, aby zdobyć w organizmie potrzebny spokój do celnego strzału i zabezpieczenia swego życia. Przedemną w jarze wznoszą się dwie porosłe kłody, na nich spoczywa odłam skały z ostatniego przewrotu przyrody, wesołe świerki szumią w tej pustyni, gdyby eolskie arfy, a ja oparty o starca drzewnego z biciem serca słucham, czekam, i słyszę szept mej duszy, że już wzruszenia dłużej nie wytrzyma. Łomot, trzask trwa już dosyć długo, dla mnie jakby wieczność całą, wreszcie z pomiędzy świerków wychyla się łeb niedźwiedzia, zatrzymuje się chwilkę, wysuwa się cały zwierz i siada. W tejże chwili, gdy wolno strzelbę podnoszę, i mam ją już blisko twarzy, mój niedźwiedziarz, stojący obok mnie o 40 kroków, woła półgłosem chrypliwym: Szymku, dla czego odbiegłeś obławę, wróć się zaraz! Niestety Szymek niedźwiedź tą samą drogą pomiędzy świerkami przeskoczył kłodę, i — tylem go widział. Nie zemdlałem, nie ponieśli mnie do grobu, lecz srogo ten zawód przebolałem, w nieutulonym żalu przeżyłem zimę całą, i dziś jeszcze po 40 latach na to wspomnienie wzdryga się dusza moja.

W r. 1858. miałem w Korczyńskich lasach miot, jakiego w annalach myśliwskich nie łatwo znaleźć, i już mi się takie polowanie pewnie w życiu nie nadarzy. Było to w Październiku, śniegi okryły szczyty gór, a leszczyna obrodziła obficie. W krzakach nad dworem, śród pasącej się licznej trzody, śród okrzyków i tonów fujarki, ogniów i dymów, hałasu i wrzawy, zebrały się na przestrzeni nie wynoszącej 150 morgów dwa niedźwiedzie, dwa odyńce, dwa wilki, samura z czterma maleńkimi warchlakami, z pewnością zdziesiątkowanymi przez wilki, nie wspominam już o lisach i zającach. Gdy obława ruszyła, padły pierwsze strzały do wilków, wynoszących się skrzydłem, później do samury, a my stojąc na szczycie góry od granicy z kolegą nie widzieliśmy nic. Wtem po chwili słyszę tentent jakby kilku koni, i dwie duże czarne postacie pędzą koło mnie gęstwiną jodłową, widzę je, ale nie mogę rozpoznać, — tentent trwa dalej, zbliża się, wreszcie widzę dwa duże dziki sunące na mnie na sztych, — strzelam, wali się dzik, powstaje i siada, zmuszony byłem ugodzić go drugą kulą. Zanim pochwycić zdołałem drugą strzelbę, opartą o drzewo, dzik drugi przebiegł około nóg moich i zanurzył się w gąszczu. Cisza chwilowa, potem słyszę szelest i widzę, jak na pana Ignacego idzie wolnym galopkiem, jakby w cyrku sztuk konnych, dwuletni niedźwiedź. Myśliwy strzela, trafia go w oko, i zabija na miejscu. Ledwie padł ów strzał, pędzi, parowkiem na połeć drugi niedźwiedź o kilkanaście kroków odemnie, składam się, mierzę, i gdy mam strzelić, widzę przed sobą p. Ignacego z białą kamizelką, w granatowym surduciku. Niepodobna było strzelić, sumienie wzbraniało, dusza zapłakała, i pot zimny oblał me oblicze. Znowu srogi los mnie dotknął w postaci p. Ignacego, który z za drzewa się wysunął i podziwiał swego niedźwiedzia, ja zaś łzawem okiem ścigałem mego, posuwającego się szybkim pędem ku połoninom. (C. d. n.)

KORESPONDENCYE.

Olejów 17. Marca 1879.

L i s n a d r z e w i e. Chcąc uzupełnić liczne wiadomości, podawane do Łowca przez korespondentów o przemieszkiwaniu lisów przebiegłych na drzewach, opiszę tu trzy zdarzenia z mego życia myśliwskiego.

Polowałem z gończemi r. 1842 w lesie sąsiedzkim, wtedy bowiem, dzięki łaskawości moich sąsiadów, nie było granic dla mego polowania. Po niejakim czasie psy ucięły i zławiać poczęły. Mój towarzysz podchodząc zaświstał na mnie, i pokazał mi guzowatą lipę z konarem grubym, horyzontalnie rosnącym nad ziemią może na pięć metrów. Niepospolite było moje zdziwienie, gdy spostrzegłem lisa z ognistemi oczami, z szyderskim uśmiechem, warującego w zupełnie nieruchomym stanie.

W roku następnym, w tym samym lesie, na innej wszakże lipie, zobaczyłem lisa na konarze, lecz ten biedak w strachu zapomniał wziąć ze sobą kitę na drzewo, wiatr ruszał kitą i wydawała się wiszącą wiewiórką.

Najzabawniejsze zdarzenie, dowodzące przemyślności lisa, zanotowałem w r. 1839. Mieszkałem wtedy w Kongresówce, w sąsiedztwie znakomitego strzelca i dobrego myśliwego, K. Ł. w Kazimierzy. Rano przy śniadaniu wchodzi leśniczy i oznajmia, że lis siedzi na pochyłej sosnie, stojącej na środku linii w lesie. Radość i zadziwienie, następnie spieszna jazda na miejsce, gdzie przezorny leśniczy kazał gajowemu stać pod sosną i pilnować lisa. I rzeczywiście siedział lis przodem do nas obrócony na zadzie jak pies, ruszał uszkami, co robił z kitą, nie wiem, bo jej widać nie było. W chwili, gdyśmy byli o 60 do 80 kroków od drzewa, gajowy wyczekawszy się przez kilka godzin, a pewny remuneracyi, zdejmuje kapelusz, i z uśmiechem na ustach kroczy do nas mówiąc: „Jaśnie Panie, siedzi na drugiej gałęzi.“ W tej chwili lisio zeskakuje, posuwa się do gąszczów, i tyleśmy go widzieli. Lis za dnia wdrapał się na drzewo, był to widocznie skoczek lisi, przyzwyczajony do mieszkania na piętrze, istny akrobata. Jego postawa na sosnie dowodziła planu ułożonego, on się wcale nie ukrywał, ani też się łudził bezpieczeństwem i był zdecydowany zeskoczyć z wysokości dosyć znacznej przy możliwych szansach, i szczęśliwie plan swój wykonał.

*

W tych latach mieszkałem w powiecie Olkuskim pod Ojcowem i Pieskową skałą, w tak zwanej Szwajcarji polskiej. Młokosik na dorobku, nie posiadał ani psiarni, ani strzelca, ni psiarczyka. Stróż podkładał rudym Trembaczem i podżarym Spiewakiem, a ja w tym archipelagu skał studjowałem przesmyki i zwyczaje zwierza, nie mając towarzysza. — Już w pierwszym roku widziałem lisy wskakujące na skały i drapiące się na szczyt tychże, aby zmylić trop psom, które biegając w około skały, zławiały dziwiąc się niepospolicie, iż trop straciły. Zabawne były te lisy na szczytach skał, istne posągi, a te schronienia tak były, jak się zdaje, tradycyą wskazane, że młode nawet na liściu strzelałem. Częstokroć siedząc na drugiej skale przez godzinę, doczekałem się wreszcie pożądanego gościa w najdziwaczniejszych pozyturach, a zawsze obserwującego na dole goniące psy. Ile razy było wilgotne powietrze lub mgła, mogłem znajomym pokazać lisy na skałach, w dnie pogodne zaś chroniły się od pogoni do jam. W tej okolicy nawet zające wskakiwały na skały przed gończemi, nie drapały się wszakże na szczyty, lecz przycupły na pierwszych wschodach.

Polując w Sabaudzkich górach z jamnikami, spostrzegłem lisa na skale ze zwieszoną kitą siedzącego, był on dla strzału mego nie przystępny, a teren urwiska nie pozwalał mi ruszyć się z miejsca. Taki był to zachwycający obrazek, że dziś mam tego lisa w pamięci mimo, iż widziałem go już dawno, bo w jesieni r. 1835. *Kazimiérz hr. Wodzicki.*

Delatyn 15. Marca 1879.

Wyczytawszy w Nrze 3. Łowca korespondencyę ze Lwowa z d. 16. Lutego 1870, w której sz. korespondent twierdzi, iż rewiry kameralne oddane są na pastwę kłusownictwu, i z powodu tego zachęca miłośników myśliwstwa, by się w towarzystwa łączyli celem dzierżawienia tych rewirów dla uregulowania stosunków polowania, odpowiedzieć muszę, iż owe mniemanie jest zupełnie mylne, i wymaga sprostowania, w przeciwnym bowiem razie twierdzenie wyrażone w owej korespondencyi mogłoby uchodzić za prawdę, którą nie jest, — i wcale do ogółu zastosować się nie da. Sz. korespondent może widział lub słyszał o niełedzie i nadużyciach w jakimeś z kameralnych rewirów, i z tego jednego wypadku sądzi mylnie o wszystkich.

Mnie znane są dokładnie rewiry kameralne, ale nie wiadomo, iżby w którym z nich otwarte dla kłusownictwa były wrota. Kłusownictwo jest wszędzie dotąd u nas mniej lub więcej grasujące, ja sam miałem z niem wiele do czynienia, lecz oddawszy kilkunastu kłusowników w ręce sprawiedliwości, odebrawszy im strzelby, postrzelawszy psy, poskromiłem je znacznie, nie mogę jednak twierdzić, iż zupełnie ustąpiło, gdyż twierdzeniem takiem dałbym sobie świadectwo nieznajomości rzeczy. — Od czasu poskromienia kłusownictwa rozmnożyła się zwierzyna znacznie, tak iż w kniejach, w których sarny liczono na dziesiątki, obecnie liczone bywają na setki.

Od lat kilku objęto polowania w lasach kameralnych w własny zarząd, przytem zalecono ścisłe szanowanie pożytecznej a tępienie wszelkimi środkami drapieżnej zwierzyny. W tym ostatnim celu strzelano i truto wilki, zastawiano na nie łapki, i tak wytępiono, że jeżeli się zkąd inne nie zjawią, to już wilków nie ma.

Skarb dzierżawi także polowania gminne celem położenia tamy kłusownictwu, i czyni co tylko może dla podniesienia zwierzostanu i polowania. Czyliż jest potrzeba łączenia się w stowarzyszenia i dzierżawienia polowań w lasach kameralnych? Nie byłbym zresztą przeciwnym temu łączeniu się miłośników myśliwstwa, gdybym miał to przekonanie, że owi miłośnicy polowania szczerze przejęci są wyższymi celami, i zdołają złemu zaradzić; niestety mogę śmiało twierdzić, iż sz. korespondent się łudzi, bo między nimi jest wielu idących tylko za popędem namiętności myśliwskiej, czyli raczej drapieżnej, a ja sam byłem świadkiem, iż tacy myśliwi przy polowaniu na wilki strzelali do sarn, i szydzili z tych, którzy im to przestępstwo prawideł łowieckich wyrzucali. Inni znowu polują na sarny z psami w równinach, w których łowy z nagonką są wskazane, usprawiedliwiając się, że polowanie z psami więcej namiętność myśliwską porusza, i więcej dostarcza przyjemości. Nie przeczę temu, lecz możnaby dla szlachetniejszych celów tę wcale nie wielką ofiarę uczynić. Ja także polowałem dawniej z psami, lecz tylko w górach, spostrzegłszy wszakże, iż polowanie z psami jest dla zwierzostanu wielce szkodliwe, pies bowiem, nia rozróżniając sarny od rogacza, goni oboje do upadłego, wypłasza z kniei i niszczy — zaniechałem zupełnie. Mógłby jakiś zardzewiały miłośnik polowania z psami na to odrzec, iż myśliwy winien w takim razie strzelać tylko do rogacza, sarny zaś przepuszczać; lecz niech sobie przywoła do pamięci nie jednokrotny wypadek z własnego doświadczenia, iż sarna w skutek długiego gonu pada wysilona, i staje się łupem psów, bywa złapaną lub dostaje się w ręce kłusowników. Takiem przejęty przekonaniem nie wahałem się wytracić wszystkie psy, choć miałem bardzo dobre gniazdo, i nie pragnę żadnego, oprócz wyżła trzymać.

Prawda iż obecnie chodzą sarny po gościńcu, a zające zjadają siano jak owce, — ale ileż to trudu i pracy w tym celu łożyłem, a owoc sumiennych usiłowań, kto wie, czyliby mi nie popsuli niepowołani miłośnicy myśliwstwa?

Nie mam zamiaru ująć zasługi i w czemkolwiek uwłaczać Towarzystwu Lisowicko-Rachińskiemu, mam bowiem wielki szacunek dla niego, a szczególniej dla hr. Wodzickiego, który jest duszą tego Towarzystwa, — lecz wypowiedzmy całą prawdę, która rzuci też może korzystne światło na stan gospodarstwa łowieckiego w lasach kameralnych.

Znane mi są stosunki polowania Lisowickiego i Rachińskiego od lat dwudziestu przeszło, bo od r. 1854, — tam był z dawna ład i porządek w polowaniu. Dzierżawił je hr. Schlik i utrzymywał nawet straż konną, mającą obowiązek strzeżenia bezpieczeństwa zwierzyny, a biada kłusownikom, którzy się w jej ręce dostali. — Rachiń zaś przechodził rozmaite koleje, przed dwudziestu laty było tam jednak tyle zwierzyny, ilebym sobie teraz dla mojej opiece powierzonych rewirów życzył. Strzelałem tam bez wielkiego zachodu na wychodnego dziki, rogacze i t. d., a najpiękniejsze knieje były Jamy wielkie, Moczeleckie, Stawne i Dębina. Nie zły był także Krąglak w Słobodzie, a za Krąglakiem strzelano cietrzewie — słowem zwierzyny było wiele. Później wkradł się nieład w te rewiry, zwierzyny jednak zawsze było dosyć, i należało tylko przez lat kilka zwierzynę oszczędzać, aby ją w dziesięcioro pomnożyć. Rachiń ma takie knieje iż co się w nich nie rozrodzi, to wejdzie z ościennych rewirów.

W takich kniejach nie wiele trudów trzeba, by zwierzostan pomnożyć — gdzie wszakże las na przestrzeni 300 do 400 hektarów leży między posiadłościami rustykalnemi, na których zwierzyna niezmordowanie przez kłusowników prześladowaną bywa, tam niozmiernie trudno poskromić ową plagę lub wytępić ją z korzeniem, a jednak — wolno mi to bez narażenia się na wyrzut samochwalstwa powiedzieć—energicznem postępowaniem wiele dobrego już w tym względzie uczyniłem, a takie postępowanie jest podobno normą dla wszystkich gospodarstw łowieckich w lasach kameralnych. *L. K.*

Oparów, 13. Marca 1879.

Wywiązując się z obowiązku, któremu każdy członek Towarzystwa łowieckiego, choćby w najszczuplejszych ramach zadość uczynić winien, ile że tylko w ten sposób dojść możemy do dokładuej świadomości, o ile już choć w krótkim czasie, lecz wspólnemi siłami, na tem polu zdziałano, pozwalam sobie zdać sprawę z łowów odbytych w latach 1878 i 1879 na obszarze do państwa Biłki szlacheckiej należącym.

Prócz łąk przeważnie wilgotnych, dwóch niewielkich stawów, ogólny obszar lasów wynosi 666 morgów austr. w czterech oddzielnych kompleksach, i tak w Zuhorzycach 320 mr. prócz kilku sekcyi zapustu, Dębina w Biłce szlacheckiej 165 mr., Dębina w Hermanowie 150 mr., Sosniny z Brzeziną na torfowiskach mokrych, i 30 mr. zapustu młodego w Gajach. Na przemian więc poluje się po rewirach tych lasów, które w niedalekiej odległości graniczą na północno wschód z lasami ciągnącymi się ku nadbużnym dolinom, jako to lasy Borszczowieckie, Tołonickie i t. d., na południe najbliżej położone są lasy Romanowskie, własność J. E. hr. Alfreda Potockiego, jedne i drugie zaś służyły od dawna już jako mateczniki wszelkiego zwierza dla najbliższych położeniem okolic. W Zuhorzycach las największy obszarem, ciągnie się jednak długim a wązkim pasem przeszło pół mili. Odwieczne dęby, owe świadki naszej świetnej przeszłości, dumne, bo gdzie dziś jeszcze w takiej ilości ostały się nietknięte, tam pewnie obca a wroga nam ręka nieposiadła tej ziemi, a chociaż ząb czasu ubiegłych wieków upominać się zaczyna o swe prawa, tam jednak, gdzie ich szanować i zachować umiano, tam po praojcach pewnie dzierżą spuściznę ich prawnuki, one też to chociaż utrzymały się w całej swej świetności, i nęciły swym ponurym szumem nieraz zwierza, jakoby przeczuwającego bezpieczne między niemi schronienie, dla położenia jednak swego, ciągnąc się wązkim pasem, nie zaległ tu nigdy zwierz grubszy, sarny nawet dawniej w odwidziny chyba tylko zachodziły, nie było żadnej ponęty, by ich tu dłużej zatrzymać, a i kłusownictwo nie zaniedbywało swoje — na zasadzkach tępiono w każdym czasie i co się tylko nadarzyło. Od czasu jednak, gdy Ustawą uzyskały pożyteczne stworzenia ochronę, częściej już na polowaniach i w większej też liczbie można się było z niemi spotkać, a sarny jakoby świadome swej opieki, już nieraz łagodnym swym wzrokiem zajrzały myśliwemu oko w oko, i w lekkich podskokach, ze spokojem niemal okałając go mijały.

Dzisiejszy właściciel państwa Biłki szlacheckiej, X. Jan Sapieha nie pozostawił i ten dział gospodarstwa, przyjemności i pożytkowi służący, odłogiem. Straż leśną zorganizowano z pożytkiem, w rewirach poprzecinano linije, dawne oczyszczono, sól. siano, konicz od czasu do czasu rozwożone już nie tylko przynęciły, lecz i zatrzymały nie jedno stadko sarn, po folwarkach, na rolach ornych, a wśród nich gdzieniegdzie na nieużytkach pozakładano remizy, w których na białem polu podłożony snopek hreczki, garść jęczmienia, już znęciły kilka stadek kuropatw, i trzymają się też tego schronienia, Nawet i o Mekitce nie zapomniano, złakomił się też na powpuszczane w stosownej porze i dogodnych miejscach króliki, lecz też i odpokutował swoje łakomstwo. W ogóle co się tylko dało w krótkim czasie zrobić, to nie zaniedbano, a i nie przestano na tem. — Rezultat zaś od Czerwca 1878 do 22. Lutego 1879 następny: słonek 14, dubeltów 30, kszyków 125, kulonów 7, kaczek 51, przepiórek 154, kuropatw 29, chruścieli 45, różnych szkodników 53. dzików 2, kozłów 2, zajęcy 195, lisów 17 — razem sztuk 724. — Z ptactwa, prócz 50 sztuk, padło wszystko od celnych strzałów X. Jana Sapiehy, w kniei polowano zwykle z nagonką po 5 godzin i dłużej, — z gończemi też w trzy psy najmniej, ośm najwięcej. Ile strzałów ogółem w kniei padło, nie mogę podać, gdyż dla innych zajęć opuściłem kilka polowań, nie obeszło się jednak, jak zawsze i wszędzie, bez pudeł, najczęściej jednak na jedną sztukę, padło 2 do 3 strzałów w przecięciu.

2. Września, gdy wczesnym rankiem otropiono i dano znać,, że w lesie Żuchorskim zaległo stadko dzików, po całonocnem splondrowaniu kartofli, grochu i prosa na przyległych niwach włościańskich, wybraliśmy się w 5 strzelb, i padły 2 strzały na dziki po raz pierwszy w tym lesie od 23 lat, jak tu zamieszkuję. Loohę 3 do 4 letnią położył X. Jan Sapieha, wycinek spory padł od strzału sprawozdawcy, reszta — trzy sztuki — nie wyszła na strzał z powodu bujnie w tem miejscu podszytych liściem zarośli, lecz zwróciwszy się na naganke, przeszła po za granicę. *L. C.*

Stary Sącz, 12. Marca 1879.

W rewirze Starosądeckim zastrzelono w zeszłym roku w czasie Ustawą krajową przepisanym z wyjątkiem sarn i lisów, których u nas nie ma: zajęcy około 50, słonek 20, kuropatw 40, kaczek dzikich 30, przepiórek 25, chruścieli 15, kszyków kilka sztuk. - Z dubeltami rzadko u nas spotkać się można, również z kulonami. — Nasza urocza dolina Starosądecka, ciągnąca się wzdłuż Dunajca i Popradu jest najbogatszą w kuropatwy, dzikie kaczki i dzikie gęsi — Ciąg słonek jest dosyć obfity, najobfitszy we wsiach: Gęstwiny, Mokrawieś, Moszczenica, Niszkowa i Podgrodzie. — Co się tyczy zajęcy, to muszę nadmienić, że mielibyśmy ich daleko więcej, gdyby nie to, że:

1. Polowanie nie odbywa się w porządku,
2. Kłusownictwu nie można tamy położyć.

Co do 1. U nas każdy uprawniony do polowania (w samem mieście jest najmniej 10 myśliwych) chodzi na myśliwkę, kiedy mu się podoba, nawet tacy się znajdują, którzy nie mając żadnego zatrudnienia bez względu na powietrze, dzień w dzień polują, i nielitościwie tępią zające, czasem przychodzi nawet do tego, że z końcem jesieni nie ma w rewirze ani jednego zająca, dopiero z nadejściem zimy przychodzą za żerem z okolicznych wsi, a najwięcej z Przysietnicy. — Co do 2. Kłusownictwo w obec Ustaw obowiązujących nie może być według mego przekonania usunięte, bo pytam się, któż zdoła zawsze dostrzedz chłopa, strzelającego zająca potajemnie, i to najczęściej w nocy na żerowisku, n. p. na pokosach, oziminie i t. d? Prawie każdy chłop, umiejący strzelać, posiada jedną, dwie i więcej strzelb. — wobec tego cóż pomoże udawanie się do c. k. starostw z prośbą o oględność w udzielaniu certyfikatów na broń. Sądzę, że tylko Ustawa, o której wspomniałem w korespondencyi w Nrze 2. „Łowca“ umieszczonej, zdoła to złe usunąć. *J. S.*

Z nad Bystrzycy, 7. Marca 1879.

Wielu myśliwych uważa ptaki drapieżne, jako bezwzględnie szkodliwe, jako takie zasługujące na prześladowanie i zupełną zagładę. Tymczcsem nie jeden z nich należy do bardzo pożytecznych stworzeń. Wytępiając ogromną mnogość szkodliwych zwierząt, szczególnie myszowatych, stają się bardzo użytecznemi Nie ma potrzeby dowodzić, iż myszy, polniki (worniki), susły, chomiki czynią niezmierne szkody w polu. Wprawdzie gdyby się nadto rozmnożyły, nie zagryzłyby nas może, jak ongi króla Popiela, ale niezawodnie stałyby się tak doku-

czliwą plagą, iż chyba wynosić się przed niemi należałoby. Łapki i inne środki, używane przez człowieka, nie bardzoby wówczas pomogły, gdyby nie przyszły w pomoc niektóre z ptaków drapieżnych tak dziennych, jako też nocnych. Każdy przeto myśliwy powinien wiedzieć, które z ptaków drapieżnych należą do szkodliwych lub pożytecznych, umieć je od siebie rozróżnić, i tępić tylko szkodliwe, a ochraniać pożyteczne. U nas niestety przeciwnie się dzieje, myśliwy skoro ujrzy ptaka z zakrzywionym dzióbem i szponami, bierze go na cel i kładzie trupem. Ginie więc takim sposobem wiele pożytecznych ptaków, jak pustułka (*falco tinunculus*), pustułeczka (*f. ceuchris*). kobczyk (*f. vespertinus*), myszołów właściwy (*f. buteo*). myszołów włochaty czyli włochacz (*f. lagopus*), orzeł krzykacz czyli orlik (*aquila naevia*), orzeł gadziarz (*aquila brachydactyla*) i prawie wszystkie gatunki sów z wyjątkiem puhacza wielkiego (*strix bubo*) i sowy długoogonowej czyli uralskiej (*strix uralensis*). Wprawdzie porwie ów pożyteczny ptak czasem w braku innej zdobyczy, kuropatwę, przepiórkę lub innego ptaszka, lecz tem prawie żadnej znaczniejszej nie wyrządza szkody, a w każdym razie mniejszą, jak owi myśliwi, co to polując całymi dniami więcej kaleczą, niż ubijają. — Ponieważ powyższe gatunki ptaków drapieżnych wielką gospodarstwu krajowemu przynoszą korzyść, przeto należy je starannie ochraniać a przedewszystkiem dokładnie znać, do czego ogłoszona przez Redakcyę „Łowca“ subskrypcya na całą seryę ptaków drapieżnych dziennych i nocnych wielce przyczynić się może. *W.*

KRONIKA.

Olejów, 18. Kwietnia 1879.

Ciąg tegoroczny był wyjątkowy nietylko co do ilości nadciągających ptaków, lecz wyjątkowy we wszystkich szczegółach. I tak słonki w normalnym wiosennym ciągu ciągną gniazdem czyli rodzinę, składającą się zawsze z sześciu ptaków, mianowicie z rodziców i z czworga dzieci (jezeli które w podróży jesiennej lub wiosennej nie zginęło), w późniejszym ciągu częstokroć przybywają pieszczące się czule parki, które spłoszone zrywają się zawsze razem, gonią w powietrzu szepleniąc sobie czułości. Tej wiosny nadleciały dwie do trzech rodzin, a przez 11 dni polowania, widziałem jedynie dwie zaręczone parki, reszta ptaków nadlatywała tłumnie i gromadnie, okazywała po walce z wiatrem i głodem wielkie znużenie. więc ptaki nieodlatywały juz z powodu zimnej temperatury, potrzeby odpoczynku i wstrzymujących wiatrów północno-zachodnich. Gdzie słonki zapadły, tam też pozostawały przez kilka dni, co nam przedstawiało sceny, mogące z grobu nawet obudzić myśliwego. Bywały mioty od czterech do sześciu morgów, a na tej przestrzeni biegało 24 do 30 słonek nie podrywających się.

Zdaje się, że ciepłe powietrze ostatnich dni Marca wypędziło słonki z południowych krajów, i te w podróży zaskoczone zostały naprzód sześciodniową śnieżnicą, później znowu trzechdniowym rozhukanym orkanem, który szalał po naszej okolicy, czego oczywisty był skutek, że ptaki ze swych gościńców i tradycyjnych szlaków spędzone, błąkały się i zmuszone były szukać innych, nowych dróg. Potwierdza to następujący fakt: W dniu 24. Kwietnia zabito małą rudą słonkę, ledwie większą od dubelta, w d. 15. b. m. zapadło stado złożone z podobnych ptaków na małej przestrzeni, z którego zabiliśmy 29 sztuk. Gdy u nas spostrzegamy tak częstę w słonkach odmiany w kolorycie płaszcza, to tamte ptaki były zupełnie do siebie podobne, a wszystkie o $^1/_3$ część mniejsze od zwyczajnych. Wnoszę, że ptaki te pochodzą z północnych gór, gdzie się późno wywodzą, i już w wczesnej jesieni wędrówkę rozpoczynać zmnszone bywają.

Pierwsze słonki nadleciały 2. b. m. i zapadły na białej zupełnie przestrzeni, śnieg leżał jeszcze 3. 4. 5. a 7. i 8. b. m. lasy położone ku północy i ku zachodowi były jeszcze srokate. Przez pięć dni lodowaty i dokuczliwy deszcz trapił wprawdzie myśliwych niepospolicie, ułatwiał wszakże strzelanie przy gorączkowem naszem usposobieniu do niewidzianej dotąd ilości słonek. Ptaki przemoczone i skostniałe niechętnie się podrywały, pomału leciały i nie daleko zapadały. W nocy nieco cieplejszej z 16. na 17, jak gdyby sobie hasło dały, powędrowały wszystkie, chroniąc się od morderczego śrutu i groźnych odtylcówek, a myśliwi północni zaiste nie wiele widzieć i strzelać będą z tych słonek, które tak sromotnie kampanię w Olejowie przegrały. Nie jeden pozazdrości takiego polowania, dodać jednak muszę, że miało ono swe ciemne i dokuczliwe strony, błoto bezdenne nie dozwalało jazdy, więc nocne powroty żółwim krokiem w zupełnie przemoczonej odzieży zatruwały nam rozkosze polowania. Musiało być wiele słonek, kiedy w trzech dniach i w trzech myśliwych (straż leśna była zatrudniona i nie mogła uczestniczyć w polowaniu) zabito 72 sztuk.

Rezultat naszego wiosennego polowania na słonki jest następujący

W dniu	2	Kwietnia	znaleziono	2	słonki	ubito	2
„	3	„	„	6	„	„	5
„	5	„	„	[illegible]	„	„	4
„	7	„	„	34	„	„	29
„	8	„	„	45	„	„	28
„	9	„	„	50	„	„	37
„	10	„	„	23	„	„	18
„	12	„	„	43	„	„	31
„	15	„	„	40	„	„	29
„	16	„	„	15	„	„	11
„	17	„	„	3	„	„	1
				267	„	„	195

15° ubito owe małe rude słonki, 16 resztę z nich. Na 267 słonek przybyłych odleciało 72 sztuk.

Kazimierz hr. Wodzicki.

Otrzymaliśmy obszerną i nader ciekawą korespondencyę traktującą o polowaniu Olejowskiem na słonki i o słonkach w ogóle. Ponieważ Numer już był złożony i oddany do druku, przeto z żalem musimy ową korespondencyę dopiero w następnym Numerze umieścić.

Tegoroczny wiosenny ciąg słonek należy policzyć do nadzwyczajnych. W wschodniej Galicyi była przeważnie znacznie większa ilość słonek, jak w zachodniej, jak nas zewsząd uwiadamiają, różnica ta wszakże wynika zapewne z tego powodu, iż tu myśliwi polują na nie tylko wyjątkowo, tam zaś polowanie to jest uregulowane, i odbywa się nie tylko na ciągu, ale też z nagonką. — Jakiż właściwie jest powód takiej obfitości u nas owego powabnego ptaka? Wiadomo, że słonki w jesieni, mimo gorliwego wybijania ich, jeszcze w wielkiej ilości ulatują na zimę głównie do Sardynii, gdzie są najważniejszym przedmiotem zabiegów myśliwskich, gdzie się też tysiącami strzelają i łowią. Wędrówkę swą odbywają nie zawsze w ściśle oznaczonej porze i ku jednemu dążąc miejscu, zależy to od przeczuwania lżejszej lub łagodniejszej zimy, ciągną więc do Włoch, Turcyi, a często i przez Śródziemne morze, i ztamtąd na wiosnę wracają do nas. Wypadki polityczne wywierają niezawodnie wielki wpływ na ciąg ptaków, szczególnie niektórych gatunków. n. p. sępów. Widocznie tego roku siedziby zimowe słonek nie były wyjątkowo niepokojone przez ludzi, zajętych ważniejszemi sprawami, ztąd też o wiele większa ich ilość nawidziła nas teraz, a nasz myśliwy niech będzie pewien, iż wędrówka owego poetycznego ptaka jeszcze nie jedną przyniesie mu niespodziankę.

W lasach arcybiskupich Stawczańskich polowano na słonki w 5 strzelb z nagonką, i ubito w dwóch dniach sztuk 80. Prawdziwie polskiej gościnności i dobremu prowadzeniu polowania pana Wierzchlejskiego zawdzięczamy ów świetny rezultat. *Z.*

Pietniczany, 27. Łutego 1879.

Epizod myśliwski.*) Dnia 22. Lutego objeżdżając trutki na trzech kopcach. znajduję kawałek nadgryziony. Było pięć wilków, jeden, tylko się najadł, i za nim tropem pojechał ataman Terentij. Wilk kilka razy kładł się po drodze, wreszcie niedaleko Zabary widzi go Terentij na śniegu leżącego, chwytającego zębami śnieg. Konia uwiązawszy wyszukał drąga, uderzył kilka razy po głowie i zabił wilka. Dowlókł wilka do pochyłej lipy, wciągnął go na nią, potem konia podprowadził i z lipy na siodło wciągnął. Uwiązując go, jeden trok się przerwał. i wilczysko zwaliło się na ziemię. Wtedy Terentij ściąga z siebie pa-

*) Wypadek ten zdarzył się na Podolu ross. w lasach hr. Grocholskiego koło Winnicy, gdzie zwykle trują wilki, bo z powodu zbyt rozległych lasów trudno na nie inaczej polować.

sek, by go do przerwanego troku dosztukować. Gdy tem był zajęty, wilk wstaje i uchodzi z początku wolno, potem coraz prędzej. Terentij siada na konia, goni go do zrębów. a z tamtąd nazad na trzy kopce do lasu Jakuczynieckiego, przez cały ów las, wreszcie w lasach Daszkowieckich, przepadł, i — nie ma go. To opowiedział mi Terentij. Na drugi dzień posłałem mego Jędrzeja w celu przekonania się o całym wypadku, widział ślady włóczonego wilka, drączek, lipę pochyłą — wszystko widział — ale wilka jak nie ma, tak nie ma. —

Dora, 4. Kwietnia 1879.

11. Marca przeszły w Dorze przez rzekę Prut 2 wilki, weszły w środek wsi, i zagryzły u dwóch gospodarzy hucułów cztery owce. po dwie u każdego, poczem powróciły za rzekę do lasu, *C. K.*

Poturzyca, 20. Marca 1879.

Dwaj włościanie, idący z Wolicy do Sokala, spostrzegli dnia 3. b. m. leżącego na czystem polu wilka. We dwóch na jednego nie obawiali się zbliżyć ku niemu — wilk z miejsca nie ruszył. Pokazało się, że był ciężko postrzelony. Dobili go kijami. *F.*

Pogorzyce, 18. Marca 1879.

Z sprawozdania przesłanego mi przez nadleśniczego p. Czeczotkę z polowania odbytego w lasach Lipowieckich, dawniej kameralnych, dziś do hr. Haeckel-Donnersmarcka należących, wyjmuję dla „Łowca“ wiadomości, iż polowano tam przez dwa dni t. j. 5. i 6. Grudnia 1878 w 12 strzelb, i zabito na 425 strzałów: zajęcy 267, rogaczy 6, cietrzewi 7. słonkę 1, kuropatw 4, lisów 2, razem sztuk 288. Czas był brzydki, chwilami śnieg mokry padał, to znowu mgła gęsta siadała. Polowanie prowadzone tam bywa zwykle porządnie. Nagonki używają 300 do 400 ludzi. *Podczaski.*

Konty, 22 Marba 1879.

17. b. m. przy obchodzie lasu zobaczył podleśniczy w rewirze kontowskim siedzącą słonkę. W całej nocy poprzedniej padał silny śnieg, rano koło 9 godziny zaś mały deszczyk przy wietrze południowo-zachodnim. Jest to pierwsza słonka, którą u mnie widziano. Zresztą ani jednej słonki nie słyszałem i nie widziałem. *Wł. Gniewosz.*

Witamy radośnie nowo zawiązujące się Towarzystwo myśliwskie pod przewodnictwem p. Franciszka Hessa w Sołotwinie. Powzięło ono myśl zbawienną brania w dzierżawę polowań gminnych i tym sposobem ukrócenia kłusownictwa, srodze grasującego w tamtej okolicy. Spoglądamy w niedaleką przyszłość najpomyślniejszych rezultatów, jest tam bowiem jeszcze jeleń, niedźwiedź, ryś, głuszec i t. d., nie wymieniając sarn, lisów i zajęcy, a w jesieni wielka mnogość słonek. Oby to nowe Towarzystwo stało się zachęcającym przykładem dla innych okolic kraju naszego, a zwłaszcza w górach. W skutek tak starannie pielęgnowanego łowiectwa moglibyśmy nie tylko współubiegać się o palmę pierwszeństwa ze Styryą, lecz niezawodnie prześcignęlibyśmy ją. Nadto zapobieżonoby tem smutnym, a niestety nie rzadkim katastrofom wzajemnego pobicia lub ubicia strażników leśnych i kłusowników. Bliższą wiadomość o tem nowem Towarzystwie podamy w przyszłym Numerze.

W Starzyskach, powiecie Jaworowskim. zabito w tym roku do 15. Lutego: dzików 3, rogaczy 20, sarnę (przypadkiem) 1, zajęcy 130, lisów 9. *E. W.*

Zaleszczyki 14. Kwietnia 1879.

Donoszę, iż dekretem c. k. Starostwa skazany został pan W. W. za zabicie sarny w Lutym, a kozła 20. Marca, na grzywnę 40 złr. Zdaje mi się, iż podobne ogłoszenia byłyby bardzo pożyteczne. Uwiadamiam również o rzadkiej ilości słonek, które tu miałem od 4. do 10. Kwietnia. Wprawdzie pierwszą słonkę zabiłem już 6. Marca, lecz potem z powodu śniegów przez cztery tygodnie zupełnie ich nie było, ale od 4. do 10. zabiliśmy w trzech myśliwych 134. Wczoraj już odleciały zupełnie *S. Brunicki.*

Stryj 16. Marca 1879.

Sądzę, iż sz. Redakcya zechce przyjąć kilka słów wyjętych z doświadczenia starego myśliwego. Pragnę udowodnić, że zwierzęta należące do rodu psów, nawzajem się pożerają. Aż nadto wiadomo, i ja sam wielokrotnie przekonałem się, że psy chętnie psiem ścierwem się raczą. Co do lisów jest rzeczą dostatecznie stwierdzoną, że gdy który z nich postrzelony zginie, bywa niezawodnie przez swych współbraci pożarty. Nie inaczej się dzieje między wilkami. Nieraz widziałem zimową porą na polowaniu szczątki zjedzonego wilka, a obok nich świeże tropy wilcze. Był on zapewne albo postrzelony, lub padł w rozżartej walce podczas cieczki. Jako dowód niech służy co następuje: Przed kilku laty pojawiła się w Stryju menażerya. W tej właśnie porze przyniósł chłop do miasta czworo młodych wilcząt, między niemi była jedna samiczka. Ponieważ właściciel menażeryi więcej chłopu za nie ofiarował, jak urząd jako premiję, przeto sprzedał je, poczem menażerya opuściła Stryj. Po dwóch latach przybyła taż sama menażerya. Zdjęty ciekawością, co też się z owemi wilczętami stało, zapytałem o to właściciela. Opowiadał mi on dosyć smutną historyę. Przez półtora roku żyły wilki z sobą spokojnie i zgodnie, lecz gdy wilczyca ciekać się poczęła, staczali samce zacięte z sobą walki, i niepodobna ich było poskromić. Jednej nocy jeden z nich padł ofiarą walki, natychmiast przez współzapaśników pożarty, po kilku dniach uległ drugi temuż losowi. Dodać należy, że wilczyca brała chętny udział w biesiadzie — i że pozostała para jest wcale łagodną i oswojoną, wysuwa łby po za kraty, i widocznie wyzywa do zabawy. *E. H.*

Stanisławów 21. Marca 1879.

Drobne wydarzenia z doświadczeń myśliwskich mogą także dostarczyć przyjemności i korzyści. Jedno takie opowiem w krótkich słowach. Miałem wyżlicę rasy mięszanej, angielskiej z czeską, sukę niezmiernie rozumną, przywiązaną, i nieocenioną na polowaniu, zwała się L a d y. Pewnego razu wyjechałem do lasu, oddalonego o milę blisko od Stanisławowa, na słonki. Przybywszy na miejsce, szedłem zwolna pośród krzaków, gdy moja suka gorliwie szukała. Po chwili widzę w odległości przeszło 100 kroków podrywające się przedemną dwie słonki, które mnie spostrzegły i w prostym kierunku poleciały. Stanąłem i rozmyślałem, co mi czynić należy. Po chwili postanowiłem nie iść za niemi prosto, lecz okrążając je zdaleka, zwłaszcza, że moja Lady widziała podrywające się, i wprost za niemi się posuwala. Ledwiem się o kilkadziesiąt kroków od mej ulubionej towarzyszki oddalił, widzę, iż poczyna ściągać, wreszcie staje jak wryta, a byłem już wtedy od niej 300 do 400 kroków oddalony. Pospieszam krążąc, a przybliżywszy się na strzał staję w gęstych dosyć krzakach z odwiedzionymi kurkami. Moja Lady widzi mnie, posuwa się zwolna, przystaje z nosem w górę wzniesionym — z bijącem sercem wyczekuję, wytężam uwagę, w tem zrywa się słonka — strzelam do wzniesionej zaledwo na sążeń, spada z dymem, pędzę do niej uradowany, i widzę, o dziwo! zamiast jednej dwie słonki zbarczone, podskakujące. Przyniosła mi je obie moja kochana suczka, za co ją ucałowałem serdecznie i wypieściłem, jak najmilszą kochankę. W chwili pociągnięcia cyngla wpadła na strzał druga słonka, której wcale nie widziałem. Rzadki to wypadek, a oraz dowód roztropności psa legawego, najwierniejszego i najmilszego przyjaciela prawdziwego myśliwego. *P.*

Stanisławów 17. kwietnia 1879.

Pospieszam z doniesieniem o wyniku wiosennego polowania na słonki w Czerniejowie, z których ubito 19. Marca 1. ruszono 1; 20. ub. 2 r. 4; 21. 22. 24. ub. 8 r. 14; 8. Kwietnia ub. 3 r. 6; 9. ub. 4 r. 6; 10. ub. 7 r. 12; 11. ub. 5 r. 10; 12. ub. 6 r. 14; 15. nb. 20 r. 40; 16. ub. 0 r 3. Razem ubito 56 rnszono 110.

Od 25. Marca do 8. Kwietnia nie polowano z powodu śniegu i niepogody.

Zwykle polowano w dwie strzelby z wyjątkiem 15. b. m., w którym trzech było strzelców i to od godz. 2. po południu. Każda słonka, która na miejscu nie została, drugi raz odszukać się nie dała, a to z powodu, że na czystem siedząc z daleka się porywały. *S.*

Srogi i niezwykle mroźny wiatr o tak spóźnionej porze ze strony, która nam nic dobrego nie wróży, opóźnił ciąg ptaków, lub też zmroził niebacznych pielgrzymów. Wiele bocianów, drobnych ptasząt, a nawet słonek znalazłem zmarzniętych. Dopiero około 8. Kwietnia podczas dżdżystej pory nastąpił w powiecie Zbaraskim ciąg słonek nadzwyczajny, nierównie liczniejszy, jak ubiegłej jesieni. Polując 10. i 11. Kwietnia w Liszczyńcach z pogonką na przestrzeni 500 morgów, zabiłem sam 25 słonek, a nie mogąc zastąpić miotu, z gorączkową pożądliwością myśliwską patrzałem zdala na mnóstwo przelatujących bez strzału. Spostrzegłem, że słonki w tym roku były niezwykle twarde do strzału, kilka bardzo silnie postrzelonych znaleziono dopiero w znacznej odległości. Zdaje się, że to było spowodowane opóźnionem przez mrozy wypierzeniem. Ciemne wieczory nie sprzyjały polowaniu „na ciągu“, a chłodny wiatr przeszkadzał słonkom do miłosnych zalotów, dla tego cicho przeciągały, *M. K.*

Wykaz zwierzyny zastrzelonej w Dobrach Wysockich Stefana hr. Zamoyskiego w 1878 roku.

Rewiry	Użyteczna																Szkodliwa										Ogółem sztuk
	Dziki	Rogacze	Zające	Bażanty	Kuropatwy	Przepiórki	Chruściele	Słonki	Kulony	Dubelty	Kszyki	Fiolauzy	Kaczki	Gęsi	Kuliki	Kurki	Lisy	Borsuki	Łasice	Kuny	Orły	Jastrzębie	Kruki	Wrony i Sroki	Psy	Koty	
Bobrówka	—	1	—	—	—	—	6	3	—	—	—	—	—	—	—	—	1	—	—	—	—	6	—	10	2	2	31
Czerniawka	—	—	23	—	2	6	4	2	—	—	4	—	3	—	—	—	5	—	—	1	—	7	1	18	4	2	82
Korzenica	—	2	18	—	—	7	5	0	—	—	6	—	6	—	11	—	6	2	5	1	1	15	—	29	6	5	136
na podjazdy	1	2	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—
Maczugi	—	2	—	—	—	10	8	5	—	2	6	—	8	—	3	2	1	1	3	2	—	5	—	18	4	2	83
na podjazdy	—	1	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—
Moszczany	—	2	12	—	—	6	5	1	—	—	—	—	—	—	—	—	2	1	2	—	—	6	—	—	2	—	52
N. Grobla	—	3	25	—	6	20	16	5	2	1	11	10	62	1	10	19	6	2	7	1	1	21	—	49	3	11	299
na podjazdy	—	17	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	2	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—
Zaleskowola	—	1	17	—	—	—		—	—	—	—	—	—	—	—	—	2	—	—	—	—	5	—	18	2	3	48
Górki	—	1	50	—	—	—	—	5	—	—	—	—	—	—	—	—	5	1	—	—	—	3	—	15	1	4	85
Pola i Łozy Wysockie	—	—	172	36	264	566	15	13	3	10	73	3	22	1	7	6	16	—	12	3	3	131	4	307	41	43	1651
Razem sztuk	1	32	347	36	272	615	59	43	5	13	100	13	101	2	31	27	44	7	29	7	5	199	5	477	65	62	2477

Nowa Grobla, dnia 10. Kwietnia 1879.

Łysakowski, nadleśny.

W tym roku na wiosnę znalazł pewien leśniczy w okolicy Naunhof w parowie leśnym massę żywą, którą stanowiły dwa myszołowy tak z sobą pazurami spojone. iż się rozdzielić nie mogły. Przyniesiono mi żywcem owe dwa w jedność połączone myszołowy, z których jednego chloroformem zabiłem i wypchałem. Jaki mógł być powód tak zażartej walki nie wiadomo. Drugiego, pięknie brunatnemi i różowemi barwami naznaczonego, z siwemi oczami, pozostawiłem żywego i posiadam go dotąd. Przez lato trzymałem go na łańcuszku silnym w ogrodzie, i karmiłem mięsem ptaków drapieżnych. Dla obcych był on niedostępny i złośliwy, zrywał często łańcuch, a wtedy nie mało miałem kłopotu z łowieniem go. Drażniony przez małe ptaki lub głodny, wrzeszczał przeraźliwie. W Październiku zdjąłem mu więzy i wróciłem zupełną wolność, lecz jakież było moje zdziwienie, gdy syn swobody nie uleciał, lecz dobrowolnie pozostał w niewoli. Odtąd chodzi po ogrodzie i dziedzińcu, biega lub lata, gdzie mu się podoba, kłóci się z dwoma moimi jamnikami o mięso i żer, widząc kąpiące się gołębie, lub psy wodę pijące, czyni to samo, ugania za psami i kąsa je w ogon. Wieczorem idzie do szopy, i dziobem kuje w beczki i t. d. Na zawołanie „Karol“ przybiega natychmiast. Zaprawdę rzecz nie do pojęcia, iż ptak drapieżny i tak płochliwy może się do tego stopnia ułaskawić!

Sport-Zeitung.

KALENDARZ MYŚLIWSKI.

MAJ.

Już łąki i pola zielonym okryte kobiercem, las świeżym liściem — cała przyroda w nowem odrodziła się życiu. Ciepłe promienie słoneczne budzą w niej urok i woń, bo kwiat kielichy swoje otwiera. Brzęk owadów, spiew ptaków, ciepły powiew wiatru — stanowią harmonijny chór wiosny i przenikają do głębi wrażliwe uczucia człowieka. Już przepiórka poczyna bić w zbożu, a słowik pełnym głosem dźwięczy w gęstych krzewach, na wodach i moczarach gwarzy ptactwo. W lesie radośna wrzawa, to zakuka kukułka, zaskrzeczy żołna, zakuje dzięcioł lub pogwizduje wilga, a ponad tymi różnorodnymi głosami góruje siłą i uroczą harmonją wdzięczny spiew słowika, a gdy mrok zapadnie, odzywa się skrzek żab, hukanie bąka, brzęczenie owadów, huk sów, jęk puhaczy.

Nie dziw, iż zapatrzony i zasłuchany w cudowny powab przyrody zapomina myśliwy o myśliwstwie, wzmacnia siły ciała i duszy, i serce ku wzniosłym uczuciom i wrażeniom podnosi

Dziki chodzą trzodą — jeleń odbija się od stada, i jeszcze wieńce o drzewa ociera, sarny wychodzą na paszę w rzadkie lasy lub do źródeł, zające lęgną się w zbożach, liszka wywodzi dzieci z jamy i zaprawia do łupieży, borsuk wygrzewa się z młodemi przed jamą na słońcu. a wiewiórczęta szeleszczą w liściu drzew.

Pora to odpoczynku dla myśliwego — nie ma dla niego teraz polowania, chyba na drapieżne ptactwo w gnieździe lub na lisy w jamach, około których młode wesoło harcują. Przeciągłe wycie wilczycy wskazuje mieszkanie jej płodu, który teraz szukać i wybierać należy.

Odpowiedzialny za redakcyę **Wład. Zontak** ul. Teatralna Nr. 18. Nakładem galic. Towarzystwa łowieckiego.

Z I. Związkowej drukarni we Lwowie, Hotel Zorża.